Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 5 sierpnia 1945 r. | Nr. 36

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Jules Vallès i jego trylogia[1])

I

Jules Vallès nie miał łaski u historyków literatury. Aż do ostatnich lat nie znajdzie się w grubych nawet dziełach o literaturze jego nazwiska. I można odgadnąć przyczynę tego, poza normalną opieszałością, z jaką podręczniki literatury odnawiają swój repertuar. Nazwisko i osoba Vallèsa są ściśle związane z Paryską Komuną, a wspomnienie Komuny miało być długo straszakiem dla burżuazji Trzeciej Republiki. Vallès, poza dziesięcioletnim wygnaniem, miał i owym milczeniem, zaległym na długo dokoła jego nazwiska, odpokutować swój udział w wypadkach roku 1871.

Właśnie on. Bo też właściwie Vallès był jedynym z pisarzy czynnie wmieszanym w te wypadki. Udział Rimbauda w Komunie jest raczej legendą literacką; jeżeli szesnastoletni Artur Rimbaud na wieść o wybuchu Komuny puścił się pieszo do Paryża, nie jest zbyt pewne czy się do tego Paryża dostał. Verlaine — autor dość słabego wiersza poświęconego Komunie — wydaje się w niej raczej zabłąkany; nie bardzo widzimy tego poetę w roli „szefa biura prasowego" (Goncourt, „Journal", IV); tym bardziej fantazyjne wydają się zwierzenia samego Verlaine'a (tamże), który jakoby miał ocalić Notre-Dame od projektowanej uchwały skazującej ten kościół na zburzenie! Natomiast Vallès związany jest z Komuną najściślej; przygotowywał ją, brał udział w jej rządzie: całe jego życie jest jakby wyczekiwaniem tego faktu. Stosunek to na wskróś osobisty; rezultat nie tylko polityczno-społecznych wierzeń lub teorii, ale jakby uczuciowy odwet za własne życie, za własną młodość. A jakie było to życie, zwłaszcza ta młodość, o tym dowiemy się od niego samego; dziełem Vallèsa, które zapisało się w literaturze, jest jego ściśle autobiograficzna trylogia „Jacques Vingtras."

Był może jeszcze inny powód ostracyzmu, który dotknął Vallèsa. Autobiograficzna jego powieść wciąga w grę — zwłaszcza w swej części pierwszej — środowisko, w którym się wychował, własną rodzinę pisarza, a czyni to z brutalną i bezwzględną szczerością, która nawet w dobie walczącego naturalizmu raziła. Naturalizm operował udokumentowaną fikcją; powieść Vallèsa ociekała autentyzmem, żywą prawdą. Znów „Dziennik" Goncourtów dostarczy nam niepodejrzanego dokumentu reakcji, jaką musiała wywołać owa pierwsza część trylogii („L'Enfant"), gdy ukazała się w książkowym wydaniu w r. 1879. W tymże roku E. Goncourt notuje: „Ohydna, wstrętna ta świeża książka Vallèsa. Dotąd matka była święta; dotąd matkę oszczędzało dziecko, które wynosiła w łonie. Dziś — koniec w literaturze religii macierzyństwa; zaczyna się bunt przeciw niej. Vingtras, to symbol naszych czasów."

Zaznaczamy, że Goncourt nie był człowiekiem płochliwym, lękającym się śmiałości w literaturze; że sam uważany był za pioniera naturalizmu; że wreszcie nie jest to mówione dla publiczności, po prostu zapisek dla siebie w poufnym dzienniku; — a ocenimy, jaka musiała być reakcja przeciętnego odbiorcy lub krytyka. Sam Goncourt, mimo tej surowej wypowiedzi o książce Vallèsa, wprowadził w testamencie nazwisko jej autora w skład projektowanej przez siebie akademii, dobranej z dziesięciu pisarzy; co więcej utrzymał go na tej liście mimo bardzo wzgardliwej pozycji[2]) jaką zajął Vallès wobec tego wyróżnienia; ale nie wszyscy umieli się wznieść do takiej bezstronności. Podobne choć łagodniejsze echo książki Vallèsa znajdziemy w korespondencji Flauberta, który dnia 13 czerwca 1880 roku pisze do przyjaciółki:

„Autobiografia Vallèsa („Jacques Vingtras") to rzecz z talentem. Biedaczysko! Pojmuje się jego żółć. Bądź co bądź przykry z niego ananas — wolę korespondencję Berlioza."

Książka, mimo niechęci jakie budziła, przetrwała; pierwsza zwłaszcza część trylogii jest niemal arcydziełem literackim; ostatnia zaś od połowy tomu zmienia się w dziennik Komuny, widziany oczami uczestnika jej spoza barykad. Z tych wszystkich względów sądzę, że książka Vallèsa warta jest dziś, aby jej się przyjrzeć bliżej.

O Vallèsie, jego życiu i jego książce można mówić razem. Pokrywają się w głównych zarysach. Będę więc mówił o nich w ten sposób, zaznaczając momenty, w których zachodzi jakieś odchylenie. A skoro autor w momencie wybuchu Komuny widzi w niej poza wszystkim i odwet za swoje dzieciństwo, warto zapoznać się z tym dzieciństwem, zwłaszcza, że ta część trylogii bucha talentem i śmiałością obrazu.

Jules Vallès urodził się w r. 1832 w Puy jako syn nauczyciela gimnazjalnego. Ojciec jego był synem chłopa; przeznaczony zrazu na księdza, potem skierował się na drogę profesury. Ambicje uniwersyteckie zawiodły, skończyło się na uczeniu dzieci w niższych klasach prowincjonalnych kolegiów. Troska o byt coraz liczniejszej rodziny kształtuje charakter „pana profesora" w dość znamienny sposób: nauczyciel zyskuje sobie srogością opinię „psa", aby zmusić uczniów do pobierania płatnych korepetycji; zgorzkniały, przemęczony, lekceważony przez wyższe władze, znienawidzony przez uczniów i nienawidzący ich nawzajem, wyładowuje w domu, zwłaszcza na pierworodnym synu, swoje zawody życiowe, swój kompleks niższości w burżuazyjnym społeczeństwie.

Bolączką tego domu była matka, może i nienajgorsza kobiecina, ale nie w tej roli. Wprost ze wsi, prosta dziewczyna została „panią profesorową", kapeluszową damą, a sam ten kapelusz (żółty, strojny dwoma całującymi się wypchanymi ptaszkami), cudaczne suknie własnego kroju, maniery, język, czynią ją pośmiewiskiem w domach gdzie pani profesorowa zasiada na kanapie. Straciła prostotę wsi, nie przyswoiła sobie form i obyczajów mieszczaństwa; nie umie dla siebie znaleźć miejsca; agresywna, nerwowa, podejrzliwa, zazdrosna przy tym (i nie bez powodu) o męża, w wiecznej wojnie z sąsiadami, ze służbą, i ona wyładowuje swoje nerwy na dziecku. Julek jest najstarszym („...jestem najstarszym dzieckiem tego błogosławionego związku. Przyszedłem na świat w drewnianym łóżku, w którym były pluskwy ze wsi i pchły z seminarium"...), ale nie jedynakiem; jest ich siedmioro. Od małego bity — i to jak bity! — przez matkę na codzień, przez ojca od święta, upokarzany, gnębiony, dławiony w każdej swojej choćby najniewinniejszej ochocie, w każdej spodziewanej przyjemności, jest w istocie biednym dzieckiem. Zwłaszcza, że mimo wszystko, dzieciak kocha swoich rodziców, wystarczyło by mu do szczęścia trochę dobroci; miewa najlepszą wolę, najlepsze postanowienia. Ale cierpi w tym domu strasznie. Cierpi i w drobiazgach, które mają dla dziecka olbrzymią wagę. Te ubrania szyte z potwornych starych spódnic matki, na wyrost! Cierpi w swojej ambicji; kiedy idzie do szkoły, jest w klasie ojca, słyszy co koledzy o nim mówią, jak go nie cierpią, jak z niego szydzą; widzi, że matka jest przedmiotem śmiechu i drwin w całym mieście i cierpi, och, jak cierpi.

Cierpi i w szkole. Owa epoka choruje na straszliwy przerost wychowania klasycznego: koniugować, deklinować, potem fabrykować wiersze łacińskie, podrabiać orędzia greckich bohaterów, to podstawa nauki. Malec jest bardzo zdolny, robi to doskonale, bierze pierwsze nagrody za wiersze łacińskie, ale nigdy nie może z siebie wykrzesać ani odrobiny zamiłowania, zrozumieć po co to wszystko. Nie ma za grosz poczucia „klasycznego piękna." „Cała ta łacina, greka, wydaje mi się śmieszna i barbarzyńska, opycham się tym, łykam to jak błoto"... Nie cierpi tej szkoły, której mury wyglądają jak więzienie; tej edukacji, w której co chwilę ujawniają mu się nierówności towarzyskie, faworyzowanie bogatych, gnębienie i upokarzanie ubogich. On sam byłby najszczęśliwszy, gdyby mu pozwolono na wieś, zostać chłopem jak jego krewni, na których całe życie patrzy z zazdrością, albo rękodzielnikiem: z upojeniem przygląda się pracy szewca, takiej miłej, sensownej w porównaniu z obmierzłym „klasycyzmem." Ale jak na złość sypią się na niego wszystkie nagrody: pewnego razu dostał ich aż trzy; że zaś nagroda połączona była z wieńczeniem, pakują malcowi trzy wieńce na głowę i wśród śmiechu obecnych, becząc ze wstydu, idzie tak przez ulice miasteczka do domu.

Czasem przychodzą nowe, nieoczekiwane utrapienia. Pani Vingtras uznała, że jej synowi potrzebne są lekcje dobrych manier, a udzielać ich miał ex-żołnierz, pijaczyna, który bił żonę, ale pływał jak ryba; wyratował inspektora szkolnego z wody, za co powierzono mu lekcje tańca. Skutki tej nauki manier, zaprezentowane przez chłopca na wielkim przyjęciu u prowizora, miały być katastrofalne.

To już było w Nantes. Bo w roku 1845 przeniesiono ojca do Nantes. Jakże będzie Vallès nienawidził tego Nantes — głównie za zawód, jaki sprawiło trzynastoletniemu chłopcu. Wiązał z Nantes — jako z portowym miastem — bogate nadzieje: zakraść się na statek, pod pokład, wyleźć aż na pełnym morzu, przebłagać kapitana i jazda na antypody, gdzie nie ma domu ani szkoły. Jakiż zawód! Nantes leży dość daleko od morza, miejski port jest na spławnej rzece, drobnohandlowy, brudny, nudny, bez cienia romantycznej poezji.

I tak płynie życie chłopca w codzienności swoich małych wydarzeń. I aż dziw, że autor trylogii „Jacques Vingtras" ogranicza je tylko do przeżyć domowych i szkolnych. Bo przecież w owym prozaicznym Nantes zaskoczyły młodego Vallèsa doniosłe wypadki. Rok 1848, echa rewolucji, wydarzeń zaszłych w Paryżu. Julek ma wówczas lat 15. Wiemy z innych źródeł, że w wypadkach lutowych brał żywy udział — na swój szkolny sposób. Pierwszy raz staje przed nim kwestia socjalna, którą pojmuje uczuciowo, dziecinnie, po prostu. Coś z tego nastawienia odnajdzie się w nim później.

Sadzenie drzewa wolności, wyskrobywanie słowa „Royale" z tabliczki na rynku — cóż za emocje. A wizyta przedstawiciela Republiki w szkole, cała nowa frazeologia republikańska!

Kiedy jeden z uczniów założył „Klub Republikański", a małego Vallèsa nie przyjęto do klubu (zapewne z powodu wieku), wtargnął na zebranie (wiemy to nie od niego, ale z cudzych wspomnień), obalił młodocianego prezydenta i sam wybrany w jego miejsce przeparł wniosek żądający radykalnego skasowania matury, wszelkich egzaminów, świadectw (jako obrażających pojęcie równości); wniosek pełen ostrych uchwał przeciw nauczycielom, korepetytorom, przeciw dyscyplinie szkolnej, internatom. Zasada absolutnej wolności dla uczniów.

Na wieść o czerwcowych wypadkach chce Vallès na czele dziesięciu kolegów pośpieszyć do Paryża; od lutego aż do czerwca jest wodzem małych republikanów. Tego wszystkiego nie ma w jego książce. Nie chciał może tym tematem rozsadzać obrazu życia domowego, przerywać zwierzeń i porachunków o ileż dlań wówczas donioślejszych; wówczas jeszcze nie w ustroju państwa mieścił się problemat jego wolności! Na sprawy publiczne przyjdzie czas w swojej porze. Każda część trylogii ma swoją dedykację, wyrażającą jej intencję. Dedykacja pierwszego tomu brzmi: „Wszystkim tym, którzy zdychali z nudów w szkole lub którzy wylewali łzy w domu; których w dzieciństwie tyranizowali nauczyciele lub katowali rodzice, poświęcam tę książkę". Oto rama; jakże szczelnie wypełniona.

Skandalik erotyczny, którego bohaterem był, na wpół mimowoli, dorastający chłopiec, stał się przyczyną, że młodego Vallèsa — czy Vingtrasa — wysyłają rodzice do Paryża. Zdawało by się raj — Paryż po Nantes! Ale to tylko zmiana więzienia. Oddany do prywatnego internatu na ulgowych warunkach — za co mści się na nim zarząd, gnębiąc chłopca codziennymi upokorzeniami — przyjęty w nadziei, że „poprawi statystykę" świetnymi egzaminami, sprawia w tej mierze zawód; odsyłają go z powrotem do Nantes. A wrażenia z Paryża? Trzymany pod kluczem, wypuszczany na krótko bez grosza w kieszeni, w pociesznym ubranku przemysłu matczynego — bo i tu poszło za nim to wspomnienie domu — nie wyniósł z Paryża nic, prócz nowych uraz. Za powrotem do domu, chłopak, któremu już się wąs sypie, coraz trudniej znosi niewolę. Matka już go nie bije — jest już za duży, za silny — to już wydział ojca. Raz po raz wybuchają straszliwe burze. Kiedy z nudów i aby zarobić parę groszy, chłopiec chce dawać tanio korepetycje, ojciec zabrania mu tej nielojalnej konkurencji, obniżania ceny. Na groźby ucieczki odpowiada groźbą żandarmów, na co mu prawo pozwalało. A jednak syn kocha tego ojca. Kiedy raz, po jakiejś szkolnej burzy, starszy uczeń wpadł do domu Vallèsów, aby znieważyć znienawidzonego nauczyciela, młody Vallès będzie się pojedynkował za honor ojca. Dostanie pchnięcie w udo, od czego rzecz prosta ucierpiały mimochodem i spodnie. „Na drugi raz włóż choć stare spodnie", powie mu stroskana matka. Ale znów trzeba chłopca wyprawić do Paryża, tym razem na własne gospodarstwo, na co wyznaczono mu 40 franków miesięcznie. Oprócz prania w domu, i — o biada! — znowuż garderoby z matczynych sukien.

W Paryżu chłopiec wchodzi w atmosferę brzemienną politycznymi wypadkami. Rok 1851 — tuż przed zamachem stanu. Vallès jest zdecydowanym republikaninem, chciałby czynnie wystąpić, ale w decydującej chwili nie może przeprzeć bezwładu kolegów, mimo iż konspirujących wraz z nim w „Komitecie Młodych". Vallès — Vingtras — przestał tylko na próżno trzy grudniowe noce na mrozie, od czego dostał reumatyzmu w ramieniu i stał się podejrzany czujnej policji.

Ale i dom daje znać o sobie. Ktoś widział Vallèsa z bezwładną ręką; dochodzi do Nantes wiadomość, że został ranny w grudniowych wypadkach. To grozi ojcu utratą posady; trzeba ściągnąć syna natychmiast do Nantes, pokazać światu, że nie jest ranny.

I młody wraca. Trzebaż wreszcie zdać i tę maturę, którą w Paryżu polityka wypędziła mu z głowy. Zda ją niebawem, w roku 1852. Ale na razie stosunki w domu bardziej są napięte niż kiedykolwiek. Ojciec i syn — ten kompromitujący, niebezpieczny syn — patrzą na siebie, jak dwaj wrogowie. I tu zachodzi fakt długo nieznany tym, co wydawali sądy o Vallèsie. Zarzucano pisarzowi, że powiedział o domu rodzicielskim o wiele więcej niż wolno powiedzieć; dziś wiemy, że nie powiedział bynajmniej wszystkiego, że złagodził barwy obrazu.

Vallès wspomina mimochodem historię profesora, którego syn krzyknął publicznie: „Precz z dyktatorem!".

„Co czyni ojciec? Powiada, że syn musiał zwariować i pakuje go do domu obłąkanych. Po upływie dwóch miesięcy wypuszczono go, ale siostra tak się wzruszyła wiadomością o obłąkaniu brata, że zachorowała, podobno śmiertelnie".

Otóż to nie była przygoda kolegi, ale jego własna. Znamy jej dokumenty.[3]) Mianowicie ojciec Vallèsa uzyskał od domowego lekarza opinię, na zasadzie której oddał syna do domu obłąkanych. W dwa dni później zakładowy lekarz wydał orzeczenie, stwierdzające upośledzenie inteligencji, urojenia, tendencje samobójcze, znamiona organicznej choroby mózgowej — stan wymagający specjalnej opieki i zamknięcia w domu obłąkanych.

Przebywał tam Vallès — podniecony, ale zdrów na umyśle — w towarzystwie wariatów przez dwa miesiące i dwa dni; wypuszczono go na skutek interwencji paryskich kolegów, którzy dowiedzieli się o tej sprawie i zagrozili ojcu Vallèsa skandalem.

Takie było dziecięctwo i taka młodość przyszłego pisarza. Jeżeli w czym można by mu zarzucić deformację rzeczywistości, to w ilościowym przedstawieniu składu rodziny. Wspomina tylko o siostrze młodego Vingtrasa, podczas gdy Valesiątek było w istocie siedmioro, co może stanie dla rodziców za pewną okoliczność łagodzącą; gdyby chodziło o jedynaka, wychowanie to zanadto trąciłoby jakimś patologicznym zwyrodnieniem sknerstwa i sadyzmu.

---

[1]) Jules Vallès (1832—1885), wybitny pisarz i publicysta francuski, wcześnie rozpoczął działalność polityczną. W grudniu 1851 brał udział w walkach w obronie republiki. Po jej upadku uczestniczył w republikańskim spisku przeciwko II Cesarstwu. W przeddzień Komuny, jako dowódca batalionu gwardii narodowej, brał udział w walkach przeciwko rządowi obrony narodowej, szczególnie w powstaniu 31 października 1870 r. Po rewolucji 18 marca był Vallès członkiem Komuny, jednym z najczynniejszych działaczy Komisji Oświecenia. Był członkiem I Międzynarodówki, ideologicznie bliski drobnoburżuazyjnemu socjalizmowi Proudhona. Pismo jego „Cri du peuple" zajmowało w okresie Komuny postawę pojednawczą między proudhonistami i blankistami. Po upadku Komuny zbiegł do Londynu, skazany został zaocznie na śmierć. Po amnestii w r. 1880 wrócił do Paryża i kontynuował działalność publicystyczną.

[2]) „Cóż to — miał powiedzieć Vallès, a słowa te obiegły prasę — Goncourt wyznacza premię dla służalstwa? Przyczepia swój wiecheć słomy do ogona pełnokrwistych ogierów, odmęższa, kastruje jurnych? Cóż to ma być za fundacja, jeżeli nie złocony ogon starczej i zjełczałej opinii?"

[3]) Ogłosił je dr. Béron w „La Nouvelle Revue", 15. XII. 1918 (J. Thierscelin: Jules Vallès à Nantes „Mercure de France", 15. VI. 1932).

II

Drugi tom trylogii ma tytuł „Le Bachelier". Polskie słowo „maturzysta" niezupełnie oddałoby treść tego tytułu; ówczesny francuski „bachelier", to było i coś więcej i coś bardziej wyspecjalizowanego. To był całą gębą klasyk, spec od łaciny i greki, na których wznosił się gmach ówczesnej wiedzy. Jeżeli takł „bachelier" nie poszedł drogą profesury, jeżeli zdradził swoje przeznaczenie, wówczas okazywało się, że jest kompletnie do niczego; dobry chyba na to, żeby gonić za prywatnymi lekcjami, licytując je na taniość. Praktycznego przygotowania do życia nie miał żadnego, tytuł zaś „bachelier" raczej szkodził mu niż pomagał; dla ludzi praktycznych zawodów znaczył mniej więcej tyle, co „niedojda z pretensjami". Toteż Vallès dedykuje ten drugi tom „tym, którzy, wykarmieni greką i łaciną, pomarli z głodu". Jemu samemu zdarzyło się parę razy spotkać w Paryżu na ulicy żebraka, który legitymował się jako „bachelier", i to z nagrodami.

Vallès nie chce iść drogą regularną, drogą kariery, którą zohydzał mu codziennie przykład ojca; nie chce być za młodu owym „pion", dozorcą i katem dzieci, sypiającym w klatce w ich wspólnej sypialni, szpiegującym, znienawidzonym, narażonym na odwety dzieciaków i mszczącym się znów za nie; nie chce nasiąknąć ojcowskim serwilizmem ani trząść się przed inspektorem; nie chce zwłaszcza złożyć przysięgi znienawidzonemu rządowi, uzurpatorowi, który ukradł wolność Francji. Ma z domu zapewnionych 40 franków miesięcznie (kupił je sobie, cedując ojcu — na lichwiarskich warunkach — kapitał małego spadku, którego jako małoletni nie miał prawa objąć); rzuca się tedy w Paryż w nadziei, że zdobędzie resztę własną głową.

Jedną z charakterystycznych książek Vallèsa będzie później (1865) tom jego „Les Réfractaires" (coś pomiędzy „buntownicy" a „wykolejeńcy"). W książce tej da cykl obrazków z życia owej cyganerii zbuntowanych „bacheliers", takich jak on sam, takich z którymi się stykał. Ponura to cyganeria, bardziej ponura od cyganerii artystycznej i jej desperackiej często nędzy. Tamtą nędzę złoci bodaj promień poezji, sztuki i zawsze przyświeca jakaś nadzieja nagłej zmiany losu; tutaj — nie. Półnędza lub nędza zupełna — nadziei znikąd. A biada temu, kto zostawszy chwilowo bez lekcji, sprzeda ostatnie buty lub koszulę, aby zjeść obiad; wówczas już pogrzebał wszystkie możliwości: inteligent bez koszuli nie znajdzie pracy, a bez pracy nie odkupi koszuli; błędne koło. Jedynie nieliczni — opisuje i takich Vallès — potrafią się dostosować do takiego życia, wyzyskać wszystkie sekretne środki milionowego miasta i znajomość jego fauny głupców. Tacy potrafią żyć, i nawet nieźle, rycerze różnych intelektualnych przemysłów. A jeżeli sam Vallès, przeszedłszy wszystkie etapy paryskiej nędzy, zdołał się z niej wyrwać, to dlatego, że w tym „bachelier" tkwił tęgi kawał pisarza, artysty. A zwłaszcza tkwiła pasja, żądza odwetu. „Zapłacisz mi za to, ty głupie społeczeństwo... nie stracisz na zwłoce. Wyostrzę broń, która cię skrwawi..." — „Kiedyż spalą Kodeks i Kolegia!" — woła gdzie indziej.

To życie i to środowisko jest treścią drugiego tomu trylogii. Vallès próbował różnych zawodów. Między innymi pracował przy układaniu słownika po centymie od wiersza, przy czym trzeba było dostarczać przykładów z klasyków. Dla pośpiechu, aby wyrobić więcej centymów dziennie, a także przez kpiny, Vallès zamiast szukać w książkach, podrabiał te przekłady; doszedł zwłaszcza do mistrzostwa w podrabianiu Bossueta! Pisywał i piosenki, i satyryczne wiersze na zamówienie, i prospekty — wszystko.

Powiedzmy od razu — że artystycznie ten tom stoi niżej od poprzedniego. Tam mieliśmy przejmujący autentyzm [4]) wspomnień; życie dziecka widziane niemal dzień po dniu; tutaj film kilkunastu lat egzystencji paryskiej przesuwa się w dość fantazyjnym skrócie, to zwolniony, to przyśpieszony nadmiernie, przystrojony reminiscencjami bohemy w stylu Murgera (mimo że książka Vallèsa chce być jej zaprzeczeniem); niejeden epizod trąci już literaturą i to nienajlepsza. Cały bogaty okres dojrzewania młodzieńca, jego kształtowania się duchowego, urastania w pisarza, potraktowany jest dziwnie zdawkowo, podczas gdy błahe przygody wątpliwej autentyczności rozbudowano nadmiernie w tej „Dichtung und Wahrheit", w której „Dichtung" oznacza bardziej zmyślenie niż poezję. Ale od czasu do czasu, zwłaszcza gdy znów powieje do nas powietrze rodzinnego domu Vallèsa, książka odzyskuje akcenty przejmującej prawdy. Do takich momentów należy rozstanie się jego rodziców na tle spóźnionej miłości starego Vallèsa, rozbicie domu, kamienna rozpacz matki, potem śmierć i pogrzeb ojca. I te momenty, gdy przychodzi do głosu jakaś głęboka solidarność rodzinna, gdy czujemy, że mimo wszystko ci straszni rodzice kochali syna i on kochał ich, bardzo artystycznie tonują wstecz okrutną groteskę domowego piekiełka z tomu pierwszego.

Vallès jest bardzo nierówny; istnieje jako pisarz tylko wtedy, kiedy czuje, i to gwałtownie; reaguje na rzeczywistość wszystkimi zmysłami i raczej odruchami intelektu niż jego konsekwentnym funkcjonowaniem. Takie też jest jego dojście do socjalizmu, do przyszłej Komuny. Ani śladu nie znajdziemy w jego zwierzeniach jakichś kontaktów z socjalizmem naukowym, żadnej innej podbudowy teorii; jeżeli wspomni lekturę Proudhona (którego „Voix du peuple" kupuje z biciem serca), to, aby zanotować, że: „styl Proudhona rzuca płomienie, gra jak słońce na szybach; mam wrażenie, że poprzez wiersze druku widzę iskrzący się bagnet". Serce bije mu również, kiedy spieszy na wykład uwielbianego przez radykalną młodzież Micheleta; moment, kiedy Micheleta pozbawiono katedry, akcja młodzieży dużo zajmuje miejsca w książce Vallèsa. A oto jego jakże znamienne wyznanie wiary:

„Czy ja wiem naprawdę, czemu ja chciałbym walki i tego, co da zwycięstwo? Nie bardzo. Ale czuję, że moje miejsce jest po tej stronie, gdzie będą krzyczeli: Niech żyje Republika demokratyczna i socjalistyczna! Po tej stronie będą wszyscy synowie, nad którymi ojciec znęcał się niesłusznie, wszyscy uczniowie, których nauczyciel upokarzał krwawo, nauczyciele, których dyrektor łżył, wszyscy ci, którym niesprawiedliwość kazała mrzeć głodem!..."

Ujrzymy, iż poza ten krąg myśli socjalnej Vallès nie wyjdzie do końca. Jest może instynkt w tym ograniczeniu. Goncourt robi uwagę, że Vallès pielęgnuje swoją gorycz, hoduje ją, obnosi, podsyca, rozumiejąc, że gdyby ją stracił, byłby jak tenor pozbawiony swojego „wysokiego c".

Opuszczam na chwilę Vingtrasa, aby zestawić pierwsze sukcesy literackie samego Vallèsa na podstawie jego biografii. Zmożony nędzą, przyjąwszy mimo zarzekań się, miejsce korepetytora w liceum w Caen, Vallès wrócił stamtąd po ośmiu miesiącach, przywożąc nieoczekiwaną książkę pt.: „Pieniądz", napisaną „przez literata, który stał się giełdziarzem". Książka ukazała się w r. 1857 — autor jej miał 25 lat. Był to pamflet wymierzony w sfery finansowe, w pieniądz. Książka zwraca uwagę; dziennik „Figaro" przedrukowuje z niej duże ustępy. W następnym roku Vallès jest już współpracownikiem „Figara" i w ciągu 10 lat — z przerwami co prawda — pracuje w dwóch pismach — „Figaro" i „L'Evenèment" — wydawanych przez potężnego wówczas handlarza myśli, Villesessanta. Zaczyna cyklem felietonów „Figaro na giełdzie".

Pióro Vallèsa, gwałtowność jego stylu, szybko zdobywa mu reputację. Ale ten współpracownik bywa dla redaktorów i niewygodny i niebezpieczny. Nie uznaje kompromisów i, przy ówczesnej ostrej i podejrzliwej cenzurze, może narazić pismo na grzywnę lub zawieszenie. Komplementują go za talent, winszują werwy, ale mają się przed nim na ostrożności. Zniecierpliwiony Vallès marzy o własnym piśmie. Jakoż 1 czerwca r. 1867 ukazuje się „La Rue", tygodnik z podtytułem „Paris pittoresque et populaire". Vallès — naczelny redaktor; w składzie redakcji m. in. Zola, Edmond i Jules Goncourt, Léon Cladel; jako rysownicy: A. Gill, Rops, Courbet. Tygodnik zawieszono po ośmiu miesiącach; tytuł jego stał się tytułem książki Vallèsa, stanowiącej zbiór jego artykułów.

Etapy tej drogi Vallès, zachowując ogólną linię „Vingtras", grupuje cokolwiek inaczej, ale znajdziemy w tej książce wspomnień żywo skreślone sylwety Girardina, Villesessanta i innych potentatów prasy.

III

Zbliża się rok 1870. Vallès w swoich wspomnieniach oddaje nastroje ludowe Paryża, jakby już podminowanego przyszłą klęską Cesarstwa i wietrzącego jego upadek. Pogrzeb Wiktora Noir, dziennikarza, który padł od kuli księcia Napoleona, postawa robotniczego Paryża, wszystko to żyje na kartach książki. Z początkiem wojny, w sierpniu r. 1870, Vallès dostaje się do więzienia; ogłoszenie Republiki uwalnia go. Rzuca się w wir wydarzeń: zakłada pismo „Cri du peuple"; — i czeka, czeka dnia!

Ten trzeci tom trylogii pt. „L'Insurgé", poświęcony jest dziejom Komuny. I ten tom również ma dedykację: „Wszystkim tym, którzy jako ofiary krzywdy społecznej chwycili za broń przeciw źle urządzonemu światu i stworzyli pod sztandarem Komuny wielką federację niedoli — ofiaruję tę książkę". Pół tomu wypełniają echa wojny, oblężenie Paryża, podziemne przygotowania, nabrzmiewanie sytuacji. Aż wreszcie — 18 marca 1871. Zaczyna się. Pułk liniowego wojska przeszedł na stronę ludu. Jeden generał zmasakrowany, drugi pod ścianką. Takie wieści przynoszą Vallèsowi koledzy. Posłuchajmy jego samego, okrzyku, jaki mu się wydziera mimo zgrozy przed rozlewem krwi:

„No tak! To Rewolucja!

Nadeszła więc ta chwila, oczekiwana i upragniona od pierwszego okrucieństwa ojca, od pierwszego uderzenia w twarz ręką belfra, od pierwszego dnia bez chleba, od pierwszej nocy bez dachu — oto odwet za szkołę, za nędzę, za grudzień!"

Zważmy ten krzyk; w nim jest cały Vallès Wspominałem, że w poprzednim tomie nie znajdziemy żadnych śladów ewolucji umysłowej w duchu naukowego socjalizmu; rewolucja, Komuna, trupy, to dla niego wyzwolenie z urazów dzieciństwa, odwet nie tylko za grudzień, ale i za dom, za życie. Nie znaczy to, aby Vallès-publicysta nie czuł się powołany do zabierania głosu w sprawach techniczno-organizacyjnych wyłaniającego się nowego ustroju. Pojawia się w tych pierwszych dniach jego „program", w którym czytamy, że Paryż winien się ogłosić wolnym miastem wolną gminą („commune affranchie"), państwem republikańskim („cité republicaine"), „urzeczywistniającym w możliwych granicach teorie bezpośredniego rządu, istniejącego w republice szwajcarskiej". I nakreśliwszy na paru stronicach drobiazgowy plan koniecznych zarządzeń, tak dla gospodarki wewnętrznej, jak i dla rokowań z przedstawicielami armii pruskiej oraz z rządem Francji, Vallès kończy swój program słowami: „Takie są zarządzenia, które należy podjąć natychmiast, pod grozą popadnięcia w zamęt i stoczenia się w przepaść".

Ale w tej samej chwili ujrzymy jeszcze inne wcielenie Vallèsa. Oto lud wali na ziemię słynną kolumnę z Place Vendôme z posągiem Napoleona. Vallès nienawidzi Napoleonów — zarówno trzeciego, jak i pierwszego. Nie cierpi poety Bérangera za to, że „lizał bronzową kolumnę Napoleona; klękał przed kapeluszem tego bandyty". Pisze wiersz „A la colonne", będący jakby drwiącą odpowiedzią na wszystkie bałwochwalcze „Ody do kolumny" Wiktora Hugo i innych. Wiersz ten pozwolę sobie przytoczyć tu w oryginale:

A La Colonne

Le colosse d'airain, qu'ont brisé nos colères,
Aux yeux de la canaille ouvre ses flancs béants;
Crachons sur lui, nous tous qu'on forcait, pauvres [hères,
A payer quatre sous pour lui grimper dedans!
Quatre sous!... Pour les gueux, on ne t'avait pas [faite,
Et les désespérés, qui, sans pain, sans logis,
Voulaient sur le pavé s'élancer de ton faite,
Ne pouvaient même pas se suicider gratis!
C'est fini, ce temps là... Te voilà sur la place,
Grand cadavre verdatre en morceau mis par nous;
Et pour les meurt-de-faim, la grande populace,
Avec ton Bonaparte on va frapper des sous!

I w pięknym tłumaczeniu Adama Ważyka:

Do Kolumny

Na pokaz motłochowi swe rozwarte łono
Spiżowy posąg, gniewem zwalony, wypiętrza;
Plujmy nań, łachmaniarze, boć to z nas łupiono
Po cztery sous za samo wchodzenie do wnętrza.
Cztery sous!... Nie wznoszono cię dla chudeuszy,
A i nawet bezdomni, głodni desperaci
Nie mogli z twego szczytu wyzbywać się duszy,
Na bruki skacząc, chyba że który zapłaci!
Skończyły się te czasy... Leżysz kupą miedzi,
Pogruchotany przez nas zielony truposzu!
I dla nas, głodomorów, dla wielkiej gawiedzi
Wybiją z Bonaparta twego grosz po groszu.

Wróćmy do trzeciego tomu trylogii. Odtąd, od dn. 18 marca 1871, aż do końca zmienia się on w dziennik Komuny. Pisany jest zapewne ex post, ze wspomnień; ale wspomnienia te barwią się tak żywo gorączką chwili, że czytając czujemy się jak gdyby przeniesieni w ogień walki. Zrazu Vallès jest cywilem, ale jako redaktor „Cri du peuple", sądząc, że to będzie z korzyścią dla dyscypliny rewolucyjnej, militaryzuje się, otrzymuje rangę kapitana, kepi i szablę; ale, o dziwo, z chwilą, gdy jest w mundurze i z urzędowym stopniem, nie słucha go nikt; musi na nowo przedzierzgnąć się w cywila, chcąc aby go słuchano. Potem mianują go nagle merem jednego z okręgów; był też członkiem Komisji Oświecenia. Goncourt czyni go w swoim „Dzienniku" ministrem oświaty, źle wróżąc o losach Komuny z powodu tej nominacji. Czytajmy jego zapisek pod datą 31 marca:

„Risum teneatis!... Jules Vallès jest ministrem oświaty. Cyganeria wprost z knajpy zajmuje fotel, na którym zasiadał Villemain. A jednak trzeba powiedzieć, że w całej bandzie Assi'ego ten człowiek ma najwięcej talentu a najmniej złości. Ale Francja jest tak „klasyczna", że literackie teorie tego pisarza już bardziej zaszkodziły nowemu rządowi, niż teorie socjalne jego kolegów. Rząd, którego członek ośmielił się napisać, że Homera trzeba cisnąć do lamusa, a „Mizantropowi" Moliera brak jest wesołości, wydaje się mieszczuchom bardziej przerażający, bardziej wywrotowy, bardziej antyspołeczny, niż gdyby ten rząd uchwalił w ciągu jednego dnia zniesienie prawa dziedziczenia i zastąpienia małżeństwa wolną miłością".

W istocie, jeszcze w r. 1866 Vallès, ścigający nienawiścią klasyków (wciąż uraz młodości), spiorunował osłupiały Paryż wstępnym artykułem w „L'Evenèment", zakończonym słowami:

„Na śmietnik ta kupa starzyzny, do zlewu melodyjny Wirgiliusz i nieśmiertelny Klituśbajduś, który spłodził Iliadę i Odyseję. Podkasuj się, Schneiderko (modna aktorka, która kreowała „piękną Helenę"), a ty, stary Homerze, do przytułku dla ociemniałych!"

Działalność Komisji Oświecenia nie poszła bynajmniej po tej obrazoburczej linii; ale Vallèsowi nie zapomniano jego artykułu. Już po upadku Komuny, w korespondencji swojej z r. 1880 Flaubert, robiąc swój bilans pasywów Komuny, pisze: „Ministrem oświaty był wielki Vallès, który się chełpił, że ma w pięcie Homera!"

Zaiste, Francja jest ziemią klasycyzmu; niech to usprawiedliwi te ekscesy Vallèsa, bodaj przez pamięć dnia, w którym szedł do domu płacząc rzewnymi łzami z trzema wieńcami na głowie.

Kończy się ten tom — i trylogia — porażką Komuny. Gdy wersalczycy weszli już do Paryża i rozpoczęły się okrutne represje, Vallès, widząc, że wszystko stracone, ukrywa się, potem goli brodę i próbuje się wymknąć z miasta na wozie. Jacyś żołnierze rzucili na ten wóz rannego z poleceniem dowiezienia go do ambulansu; ranny umarł, ale trup jego stanowi cenną legitymację. Vallès objeżdża z trupem miasto, aż wreszcie znajduje jakiś mniej strzeżony punkt i wymyka się. I tuż przed granicą, gdy jeszcze może być schwycony, przechodzą mu przez głowę jakże charakterystyczne myśli — wciąż te same:

„Moje urazy umarły — miałem swój dzień.

Wiele innych dzieci bito tak jak mnie; wielu innych maturzystów cierpiało głód i zaszło aż do grobu, nie pomściwszy swej młodości.

Ty zebrałeś swoje nędze i bóle i doprowadziłeś swoją garść rekrutów do tego buntu, który był wielką federacją cierpienia.

Na co się skarżysz?..."

Jeszcze chwila — i Vallès jest po tamtej stronie granicy. Udaje się do Anglii, gdzie pozostaje do r. 1880, współpracując z radykalnymi pismami we Francji. W r. 1878 drukuje w felietonie dziennika „Le Siècle" pierwszy tom [5]) swojej trylogii („L'Enfant") — pod pseudonimem. Kiedy amnestia pozwala mu wrócić do Paryża, rozszerza swoją działalność publicystyczną, wznawia swój dziennik „Cri du peuple". W ostatnich latach sekretarką jego i wyznawczynią jest Séverine, popularna później publicystka i działaczka społeczna. Vallès umiera w r. 1885, pogrzeb jego jest wielką manifestacją ludowego Paryża.

Vallès był jednym z najgłośniejszych, najwpływowszych publicystów swojej epoki. Jedyną atmosferą, w której mógł żyć i działać, była atmosfera walki, namiętności, gorączki i styl jego urabiał się w tej walce; działalność jego jako publicysty, ta, która najwięcej dawała mu rozgłosu, jest dziś najbardziej martwą w jego spuściźnie. Ona to ściągnęła nań ostry sąd Engelsa, który w liście do Bernsteina (17 sierpnia 1884) nazywa go frazesowiczem literackim. Zdaje się, że Vallès, kiedy wyszedł poza sferę swoich młodocianych wspomnień, urazów i obsesji, niewiele miał do powiedzenia. Ale zostawił jedną książkę godną wielkiego pisarza; tę właśnie, w której zawarł niedole swojej młodości, tragedię — czy raczej tragikomedię — socjalną dziecka.

Tadeusz Boy-Żeleński

---

4) Vallèsa przeżycia szkolne, wizerunki profesorów i in. konfrontowano z innymi wspomnieniami z tych samych lat i z tej samej szkoły i stwierdzono ich prawdziwość. (L. Villat: „Jules Vallès à Nantes", „Mercure de France", 1. czerwca 1932 r.).

5) Drugi tom („Le Bachelier") ukazał się w r. 1881, trzeci („L'Insurgé") już po śmierci pisarza w r. 1886. („Nowe Widnokręgi", 1941, nr. 3).

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

Kwilenie czaje!

O rozległa moja mowo ojczysta:
niby miedze rumianku,
niby oddech poranku,
niby rosy drżącej łza najcichsza.

O rozległe żytnie pole!
a tu źdźbełka się kruszą,
a tu zawładnął mi duszą
śliwiny cień przy stodole.

O ręce, ręce mojej wieśniaczki-matki:
jakby chustą trzepotała siwą,
jakby zapachniało niwą,
buraczany ogród kołysze się w wietrze u sąsiadki.

O, ty mnie słowem najcichszym ucisz,
o czarnoleska, jak starego pod lipą Jana —
mowo moja żytem kołysana
ojczyznę śpiewną z kwilenia czajek, wróć mi.

Kraków, sierpień 1944.

Czas przedżniwny

Wyjdź przed sień. Oto ciągną żaglowce wiatru.
Żyto podpływa do okien, wzgórze na dół zeszło.
Bławaty, niby gwiazdy, podpalane czerwienią.
Stodoły puste zeszłoroczną pieśń nucą.
Mysi zapach węszą sąsiadów koty.
Tylko w zapalnicy, wysoko cepy trwożą się,
rzemienne gązwy sprawdzają bukowe kije:
radzą. Zawiasy wrót rdzę skrobią, — skrzypią —
i tylko ojciec siwy, uniesiony szumem, mija
swoją młodość daleką. A moja?

JULIAN PRZYBOŚ

MIEJSCE NA ZIEMI

STR. 164 CENA ZŁ 95

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«

ZYGMUNT FIJAS

Kronika miasta Rogożyna*)

Nastała pora listopadowych półmroków. Ziemia cicha, zbielała od szronów, zasnuła się zapachem zgniłych liści, skwaśniałej tartacznej dębiny i tubalnym szczekaniem rogożyńskich psów.

Trzy biedne olchy nad studnią, wypatroszone już z liści do cna przez wichry, zastygły w bezruchu. Jeszcze brudna flaga niezdjęta od czasu listopadowej uroczystości chwiała się nieco. Ale i ona umilkła. Umilkła, nie odezwała się nawet wtedy, gdy wicher strącił miseczkę od golarza.

Któregoś listopadowego wieczoru z zaułków wyszli Żydzi, poczęli szwargotać między sobą jak wrony w czasie odwilży. Potem rozbiegli się nerwowo po ulicach, napełnili Rogożyn ptasim, panicznym gegotem, tak jakby cudowny rabin zaniemógł, lub jakby Małka nie powiła dziecka. Nazajutrz Małka powiła trojaki i przyjechał z Hamburga Natan Szlissel handlujący brylantami.

Przestrzeloną miał rękę. Oczy jego, dawniej tak lśniące, zapadły się w głąb. Chromał także i pluł krwią.

Burmistrz wtedy nie przerywając pisania powiedział do żony: — Kocie, tam nie cackają się zbytnio z nimi. A zresztą, Aninko, uważam, iż ten golf będzie bardzo ładny. Nade wszystko podoba mi się ten śliczny ścieg ryżowy. Tak.

Wieczorem po mieście rozległ się przeraźliwy lament Żydów, któremu z drugiego końca miasta odpowiedział spokojny baryton prowadzonego przez ulice kantora.

Tej nocy wyniesiono Szlissela w skrzyni, tej nocy aptekarz zgrał się szpetnie w szmendę.

Tej samej nocy Michaś Diogenes posłyszał krzyki lecących w chmurach gęsi.

Obudziwszy stryja jął litować się nad zagubionymi w ciemnościach ptakami. Ale stryj wyśmiał swego wychowanka. Kazał mu wypić herbatę z Passiflory. Nie stwierdziwszy nawet, czy Michaś pije, zasnął. Był bowiem zmęczony zwożeniem drzewa znad rzeki a przywidzenia Michasia pojął jako oczywisty bezsens snu.

Michaś jednak słyszał wyraźnie gęgot emigrujących ptaków, widział jak nad miastem kołują ich żałosne cienie. Ich przejmujący gęgot przyprawił go o drżenie szczęk.

— Stryju, stryju — począł wołać — zbliżają się wichry. Słuchaj! Stryju!...

Stryj zerwał się.

Najwyraźniej tuż koło okien zbierała się groźna nawałnica.

Poczęły trzaskać okiennice, na dole spadło blaszane wiadro.

— Stryju — jęczał Michaś — dlaczego my nie mamy skrzydeł? No powiedz! Stryju, stryju!...

Stryj Teodor spojrzał przez okno na huśtające się korony drzew i rzekł ostro:

— Pędzą teraz do ciepłych krajów, głupie ptaki. Wymarzną tam doszczętnie.

— Wymarzną mówisz? To dlaczego ludzie nie pomyślą, żeby ogrzewać powietrze.

Stryj bacznie spojrzał na Michasia.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Żal mi gęsi.

— Gęsi ci żal, głupcze, a ludzi ci nie żal?

— Mnie wszystkiego żal.

— To śpij i nie bój się. Na pewno będą kiedyś ogrzewać powietrze. Śpisz?

— Śpię!

Michaś zasnął po długiej chwili. Obudził go gwałtowny łoskot. To na dole spadła ze ściany blaszana balia i ona narobiła takiego hałasu. Nie mógł już zasnąć.

Wydawało mu się, że to wichura powtarza ogromny krzyk gęsi. Widział nawet najwyraźniej jak nad latarniami w rynku, tuż nad studnią, skąd wyruszali z miasta wędrowni, miotają się odlatujące ptaki, szamocą się ze światłami i pędzą w głąb wyjących, nieznanych ciemności, łopocąc strasznymi skrzydłami.

Niestety było to już przywidzenie.

Tak brzmiał lament Żydów a blaszana balia spadła potrącona przez szczury.

Wicher wówczas już ucichł. Mknął chmurami, podrywał ich ciemne cielska. Gnał je ponad szczyty gór.

Nazajutrz Michaś stanął nad rzeką i zadumał się nad niespodzianką, w jaką spowiły się góry.

W wyrwie pomiędzy szaro-granatowymi smugami lasów, ponad łagodną czerwienią buków, bielił się przeczysty, dziewiczy śnieg.

— Stryju! — wybuchnął zachwytem Michaś.

Stryj położył koszyk na ramieniu i nie patrząc na Michasia rzekł spokojnie: — Szedłem raz z gromadką rajzerów, Michasiu, taka była prawie pora jak teraz. Byliśmy wszyscy zdrożeni i głodni. Nogi mieliśmy poowijane szmatami. Tak wyglądał biały szczyt Matterhornu. Bielutki jak pierś szczyt Matterhornu.

Michaś nabrał kilka garści prętów na ramię i rzekł idąc z tyłu za Teodorem: — Matterhorn... Matterhornu...

I potem, gdy służąca od aptekarzowej przyniosła koszyk do naprawy, Michaś jeszcze powtarzał nazwę tego szczytu.

Niestety było to już przywidzenie.

Dziwiło to dziewczynę, dlaczego chłopiec koszykarza nie odpowiada na pytania. Ale tak przywykła do milczenia swego chlebodawcy, że poprzestała na własnym zdziwieniu.

Koszyk był bardzo potrzebny, bo pani Antonina urządzała większe pranie, należało także naprawić wyplatane krzesło.

A poza tym śnieg tego dnia zamierzał zasypać Rogożyn aż po szczyty wież i z nawałnicy śniegowej wynurzyło się auto Najwyższej Izby Kontroli Państwa.

Komisarze okutani we futra, owinięci w mnóstwo szalików wysiedli przed szynczkiem Matyldy Pokornej, tam, gdzie to zazwyczaj zbierają się goście dworscy, osoby z duchowieństwa i inteligencja miejska.

Goście wytrzepali ze siebie wiele śnieżnego opadu, z wąsów też wytrzepali, i w progu poczyniki szereg obserwacji.

Ich okulary w złoconej oprawie, ich czerstwe, żołnierskie twarze, ich olbrzymie teki z rodzaju tych, jakimi posługują się komiwojażerzy z bogatych firm skórnych, zwróciły powszechną uwagę klienteli.

Poczyniono nawet kilka zakładów na temat przyjezdnych. Przypuszczano bowiem, że przyjezdni pojawili się w taką porę celem poczynienia korzystnych, nie cierpiących zwłoki transakcji, a przyjezdni nie byli nawet handlarzami zboża. Mydło burmistrza też ich nie interesowało.

Czynili obserwacje po prostu dlatego, że byli z Izby Kontroli Państwa, i dlatego nikt zakładu nie przegrał.

Nie byli też międzynarodowymi złodziejami, zamierzającymi ukryć się w Rogożynie przed oczyma detektywów.

Byli kontrolnymi i to wiedział najlepiej pocztmistrz, znający komisarzy z czasów, kiedy byli członkami Klubu Radioamatorów. Kiedy wieść o przybyciu komisarzy dotarła do uszu burmistrza, ten kazał zabić tęgiego kapłona, tego z czerwonymi koralami dziwaka, mieszańca rodajlendki i sussexa. Także wydobył z piwnic starożytnego maślacza, rozmarynówkę z napisem: „To jest rozmarynówka larendogra od królowej węgierskiej La reine d'Hongrie nazwana" i rozporządził uciąć głowę gęsi łabędziowej.

Ale kontrolni odjechali jeszcze tego samego dnia, jak się wypogodziło, i burmistrz musiał zjeść z aptekarzem i proboszczem to, co było dla celów państwowych przeznaczone.

Powiadali o kontrolnych, że pojechali do Bialiny na brydża, ale baba odpustowa śpiesząca z sezonu do Kalinowa zaprzeczyła tej plotce jako niezgodnej z rzeczywistością.

Kontrolni pojechali do hotelu do Kalinowa. Pytali się jej o drogę. Jeden z nich miał szkiełko na oku. Na pewno widziała.

Miesiąc ten był miesiącem nieżyczliwym i ciemnym. Ciężkie, przemarzłe mgły, zwisające nieruchawo chmury, podbiegunowa, jakby już grudniowa cisza, alkaliczny zapach wilgoci pomieszany z aptecznym anyżem oto obtułka dla rogożyńskiej ciszy.

Takiego to miesiąca stryj Teodor wydobywszy z kieszeni kredę, napisał na parkanie otaczającym zabudowania burmistrza:

Mgła, słota, szron, błoto,
kogut pieje na grzędzie,
tak jak było przedwczoraj
tak pojutrze będzie.

Takiego samego miesiąca dziad ślizgający się na dwu kawałkach samochodowych opon zaśpiewał „Niebiosa rosę spuszczajcie z góry".

Śpiewał tak żałośnie, że uzbierał sobie pełny kapelusik miedziaków.

Potem „Pod Brunatnym Jeleniem" przepił z babami cały swój dobytek, żałował, że nie może tańczyć i odjechał precz z hulaszczym śpiewem na ustach.

Tego samego dnia spadła na miasto ciepła, prawie wiosenna siekawica, roztrzęsła wszelkie drzwi, zerwała mnóstwo płotów i zwaliła beczkę wiszącą naprzeciw interesu Matyldy Pokornej.

Wieczorem nad miastem rozległ się znowu krzyk dzikich gęsi, a gdy przejęci trwogą rogożynianie chwycili się za brody, mosiężny huk północnego wichru wstrząsnął posadami kamienic.

Aż do samego rana trwał ten straszny raban wichrów. Rano rozebrzmiał po całym mieście szyderczy śmiech pił tartacznych i na samym szczycie nieba pojawiła się świecąca chmurka. Chmurka ta przybrała po południu kształt orła i z tego zjawiska obiecywali sobie bardzo wiele rogożyńscy astrologowie.

Takiego dnia na szosie, którą odjechał ksiądz biskup, pojawiło się znowu auto kontrolnych.

Kontrolni chodzili po mieście, oglądali napis na parkanie okalającym zabudowania burmistrza, dziwowali się zaśniedziałej meluzynie zwisającej ze starego pułapu podsienia, chwalili powietrze rogożyńskie, jeden z nich powiedział, że ono pachnie orzechami włoskimi, drugi, że laskowymi, — ale nie weszli do magistratu. Nie pytali się wcale o sprawy urzędowe.

Dopiero kiedy wieść o przybyciu kontrolnych zmusiła burmistrza do przerwania urzędowej drzemki, jeden z kontrolnych zapytał pierwszego lepszego o stan organizacji prorządowych.

Człowiek ten musiał być niemową, bo zawołał: — Tała bała łała łaj!

I na pewno był niemową, bo odszedł krokiem, szerokim, chwiejnym, takim, jakim chodzą marynarze, lub głuchoniemi.

Dopiero Hipolit Kataryniarz objaśnił, że on sam nie mógłby nigdy w życiu być takim kontrolnym i pytać się o rzeczy głupie.

Kontrolni chcieli zawołać policjanta, ale Hipolit wyznał, że jemu na niczym nie zależy, jako tokarzowi belgijskiemu, i prosi, aby, skoro będzie na niego jaki paragraf, mógł ze sobą zabrać swój belgijski bandoneon.

Kontrolni długo przypatrywali się jego szyderczym oczom, ale nie przetrzymali spojrzenia Hipolita Kataryniarza. Oni pierwsi spuścili powieki.

Odjechali do burmistrza nie mówiąc nic do siebie. Dopiero na progu powiedzieli: — Tak, tak.

U burmistrza zjedli nóżki cielęce pieczone, białodanie z czekoladą, jeszcze od obiadu, zgodzili się na kisiel żórawinowy, i pytali się o stan myśli prorządowej.

Dopiero pod koniec uczty, kiedy burmistrzówna zagrała Marsz turecki Beethovena i gdy burmistrz chciał odtworzyć Kujawiaka Wieniawskiego, goście zapytali o Hipolita.

Burmistrz nie był rad z tego zapytania, bo nie lubił powszednich tematów, ale chcąc nie chcąc wyjaśnił pochodzenie tej postaci.

Kontrolni słuchali uważnie słów burmistrza. Patrząc na dno butelki, tak jak kiedyś ksiądz biskup, rzekli: — Francja tak na nas wpływa. To jest zupełny rozkład, tak, tak.

Nazajutrz pytali się jeszcze o stan myśli prorządowej, kazali sobie podać spis członków Obozu Zjednoczenia, roztrząsali sprawę elementów nieprzyjaźnie usposobionych, lecz nie zaglądnęli nawet do szuflady pana Wawinkiewicza, w której odnaleźliby mnóstwo części od roweru.

W sieni na widok Hani przynoszącej kalosze, rozrzewnili się.

— Jak ci na imię, obywatelko?

— Hania.

— A jak się nazywasz, piękna wieśniaczko?

— Harbuda Anna.

— Ach, Harbudzianka, obywatelko?

— Ja nie obywatelka. Służąca.

Kontrolni przyjęli uroczystą postawę.

— Nieporozumienie, obywatelko. Każdy, kto spełnia powinność jest obywatelem.

— I drugie nieporozumienie, jeśli łaska — rzekł burmistrz. — Ona pojmuje doskonale, co znaczy obywatelka Rzeczypospolitej, inaczej nie pracowałaby u mnie. Przez zaprzeczenie to chce zaznaczyć, że nie jest właścicielką realności, tylko obywatelką potoczną.

Jeden z kontrolnych spojrzał ostro na burmistrza, jakby chciał powiedzieć: — Rozumiem doskonale te nuance, ale nie powiedział nic, tylko syknął: Tiens.

Tego dnia aptekarzowa miała wielkie prasowanie i tego dnia aptekarz padł biorąc gamę cis-dur na klarnecie. Wykrzywiło mu, Panie świeć nad jego dobrą duszą, wykręciło mu twarz tam w saloniku, gdzie Steinway nowy jest.

W saloniku był proboszcz, Wawinkiewicz, było także paru gości handlowych, więc rumor stał się wielki: rozbito czeski wazon i jedną statuetkę korecką.

Potem przywołano lekarza, później nawet jeszcze dwóch, lecz niesądzone było życie dla starego gościa Matyldy.

— Ten śmiech — mówił siwiuteńki lekarz z Kalinowa — to risus paraliticus, okropny to śmiech. Nie ma na niego lekarstwa, znam to dobrze. Jednak spróbować można zagranicy.

Drugiego dnia przyjechali lekarze z Austrii. Przyjechali międzynarodowym ekspresem, rozmawiali z naczelnikiem dworca po niemiecku, rozpoznali w konduktorze swego pacjenta z czasów niemieckich. Ta niespodzianka wywołała u jego żony głośny płacz zadowolenia.

Potem przyglądali się sporej gromadce przybyłej na dworzec, nie zauważyli w tłumie małżonki pana Wawinkiewicza i przeszli przez korytarz skrzypiąc butami.

Wszyscy byli wygoleni do czysta, różowi, na nosach mieli okulary w złoconej oprawie. Za nimi z tyłu szedł młodzieniec z nosem zadartym i on niósł torbę z narzędziami.

— Będą go krajać — zawołał ktoś głosem bliskim omdlenia, a kto inny już padł zemdlony, zanim ktoś bliski omdlenia zawołał.

Lekarze nie zwrócili na krzyk najmniejszej uwagi, jeden tylko spojrzał tak surowo na tłum, jakby go tłum wyśmiewał. Ten niósł na rękach obrzydliwego psa, który nie szczekał.

Pies ten nie chciał jeść chleba ze szynką podanego mu przez Wawinkiewicza. Byłby nawet ukąsił w rękę sekretarza, gdyby lekarz nie powiedział: — Ruich, Foke.

W powozie zapytywali naczelnika więzienia o wiele rzeczy, potem w drzwiach sypialni zmrużyli wszyscy oczy.

Aptekarz patrzył przez lewe oko i jakby się przestał śmiać.

W jadalni przy winie lekarze wydali jednak na aptekarza wyrok śmierci.

— Nerwy ma zetlałe — tłumaczył bardzo wolno komisarz policji — wątroba mu się popsuła. Śledziona też nie jest w porządku, choć na serce nie ma co narzekać. Bardzo to jest dziwne przy takim stwardnieniu naczyń. Także to wynaczynienie, groźne bardzo, dziwi nas bardzo. Tak, natura jest najlepszym lekarzem, natura to jest potęga. Ona jest potęgą, której my jeszcze wcale nie znamy.

Aptekarzowa opuchnięta od płaczu zaglądnęła do słownika i zapytała sama: — Wieviel, a na to najstarszy lekarz z siwożółtą brodą rzekł: — Das kommt nicht in die Frage, drei Tausend.

— Wieviel? — powtórnie zapytała pani Zenonowa.

— Drei Tausend — odpowiedział najmłodszy z naciskiem.

Lekarze nakazali spokój, ostrzegli przed wzruszeniami. W wolnym tłumaczeniu komisarza wskazania te brzmiały tak: — Z chorym należy się obchodzić jak z jajkiem. Jeszcze jeden taki atak i koniec pleśni, pani Ściborska.

Lekarze wypili po trzy kieliszki zenonówki, dziwili się dlaczego takiej wódki nie ma w handlu zagranicznym, po czym wypróżnili trzy butelki węgrzyna.

Po kolacji stanęli jeszcze raz koło łoża chorego, macali go poważnie po całym ciele, dmuchali mu do sparaliżowanego ucha i odeszli do sypialni.

W sypialni wypili butelkę wody Zubera, podzielili się pieniądzmi.

Najstarszy wygimnastykowawszy się, włożył sztuczną szczękę do szklanki i zasnął w pozycji siedzącej.

Rano lekarze dziwili się psom rozszarpującym na jezdni wronę i odjechali na dworzec z pogardliwym wyrazem twarzy.

Na dworcu znowu pożegnał ich rogożyński tłum. Tłum ten tym razem składał się wyłącznie z ludzi chorych. Poprzychodzili tam ludzie o kulach, o laskach, przyjechał nawet ze szpitala jakiś nieuleczalnie chory astmatyk z bandażem na szyi. Powiewał futrzaną czapką, śmiał się do lekarzy jak dziecko, lecz na próżno: lekarze odjechali nie odwróciwszy nawet głowy. Został po nich siarkowo-kwaśny zapach dymu, jedna kartka z gazety i naczelnik dworca wyprężony na baczność.

Gdy aptekarz zmarł po południu, chorzy utracili mnóstwo czci dla wiedzy lekarskiej.

Wyszli pod okna aptekarza i stali tam jak Żydzi, kiedy dolar ma zwyżkować.

Wieść o zgonie aptekarza obiegła miasto lotem błyskawicy. Burmistrz pod wpływem tego ciosu postanowił rozdać ubogim swe stare ubrania. Ale nie rozdał. Stanął tylko przed fortepianem i westchnął ciężko.

Potem odwrócił się, skrzyżował ręce na piersiach i spojrzał w rynek, na którym właśnie tańczył samotny listek klonowy. Tylko pani Zenonowa wyciągając z szafy czarne ubrania męża płakała na głos.

— Moja Antonino, moja Antonino — szeptał proboszcz wytrzepując z kieszeni nieboszczyka. confetti — cóż właściwie z tego wszystkiego? Grało się w karty, rzępoliło, przysposabiało na starość i cóż? Jedna krucha żyłka, jeden nerw, fajt, i koniec pieśni. Koniec, koniec, jeszcze raz koniec, psiakrew!

Potem jeszcze na plebanii, na tle białych murów, proboszcz, jak Mojżesz zamierzający puścić wodę ze skały: — Co? — i wytrząsnął popiół z fajki.

Pogrzeb pana Zenona odbył się z wielką pompą.

Nasamprzód odprzągnięto od wozu konie żałobne, potem pan Zakleja, który był właścicielem firmy, kazał drabom włożyć najwspanialsze kapoty a przed samym wyjazdem karawanu żona właściciela przedsiębiorstwa kazała zabić wspaniałego sussexa koguta, bo się jej forga z żałobnej uprzęży wydała zbyt brudna.

Skoro już nałożono koniowi nowe pióra kogucie i podmalowano naprędce brzuch skarogniadego, pojazd ruszył pod dom aptekarza. Dzień był złocistawy, rzewny. Pachniał cierpko buczyną i piekarniami. Prawie cały Rogożyn wyległ na ulicę Farną. Rozebrzmiały znowu sienie, jak przed odjazdem jego eminencji.

W morelowym, przyćmionym blasku listopadowego słońca, wtedy kiedy dzwon wawelski żegna synów ojczyzny, na pewno prałaci nie śpiewają żałośniej od rogożyńskich wikarych.

Na pewno nie przemawiano piękniej nad grobem Cezara, gdy ten został zabity przez zazdrośników, i na pewno nikt nigdy nie mrugnął okiem nad grobem bohatera w taki sposób, jaki mrugnął na tamburmajora sekretarz Wawinkiewicz.

Pan Zenon bowiem był w czasie wojny światowej oficerem i dlatego na ten umówiony znak dobosze odbębnili żałobny salut.

Na stypie wszyscy milczeli. Tylko kilka słów wyrzekł brat aptekarzowej, przybyły aż z Pułtuska.

*) Fragment powieści.

Słowa te były bardzo żałosne. Dotyczyły nieprzemijających wartości nieboszczyka. Dopiero po kilku kieliszkach języki rozwiązały się.

Pochwalono żniwa, żałowano, że nieboszczyk nie może się już cieszyć pomyślną ceną sporyszu, wychylono mnóstwo kielichów na rzecz śmierci.

Gdy pani Zenonowa przyłożyła chustkę do oczu, proboszcz poruszył szczękami jak królik.

Nie płakał, ale musiał upuścić łzę, bo na klapie jego marynarki zawisła kropelka przeźroczystej cieczy, a wszystkie wódki były kolorowe.

W tym samym czasie Hipolit siedział na ławeczce pod studnią i mówił: — Pogrzeb mu zrobili, jakby świat przemienił. Pojadł, popił, pograł w kraty i cóż za żałoba po byle durniu? Po nas jaka pompa będzie. Deszczowa tylko zapewne.

A na to Teodor: — A co miał robić? Góry wywracać?

— Góry, nie góry. Żłóbek mógł bodaj otworzyć, albo podnieść babom cenę sporyszu.

Teodor ziewnął i poprawił się na siedzeniu. — Żłóbek nie żłóbek, góry nie góry, popatrz człowiecze rozmyślający!

Pod olchą stał Michaś Diogenes z rękoma założonymi w rękawy i kiwał głową smętnie. W głębi za furami pełnymi buraków psy rogożyńskie wyrywały sobie z pysków strzępy klepsydry.

Hipolit Kataryniarz założył harmonię na pas i wyrabiając pocieszne biodrami zagrał na cały rynek bardzo jesiennego oberka.

Zygmunt Fijas

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

Wieści z Pomorza Zachodniego

Starogard, w lipcu 1945 r.

Właśnie toczy się walka na języki i pióra o nazwę miasta. Burmistrz i urzędy zawieszają szyldy z nazwą „Starogród". Dziennikarze i ci co zaglądali do map ks. Kozierowskiego, upierają się przy „gardzie", uważając końcówkę za tubylczą, pomorską, słowiańską. Sprawa jest tym ważniejsza, że końcówka ta powtarza się parę razy na terenie Słowiańszczyzny Zachodniej. Mamy Starogard na Pomorzu Gdańskim, Starogard w Meklemburgii, tu zaś w naszym terenie dodatkowo Nowogard i Białogard. Jest więc o co walczyć.

Z dwóch Starogardów — Gdański nazywać by można nad Wisłą, ten zachodnio-pomorski określając dodatkiem nad Odrą lub nad Iną, bo tak nazywa się rzeczka, nad którą leży. Inę wywodzą od juniora, Juno — z przemianami jak w nazwie Inowrocław.

Goście z krainy na południe od Noteci nie zdają sobie sprawy, że tak blisko nas na Pomorzu Zachodnim leżało miasto zachowane doskonale w swej średniowiecznej formie. Stan murów, wieże, bramy miejskie, wały, fosy Starogardu nad Iną przypominają Rothenburg czy Kraków. Środkowa, stara część miasta nie została zwolniona z pancerza średniowiecznej twierdzy. Zostawiono sporą część murów tak jak je wzniesiono w XIII wieku. Dzielnice nowe rozbudowano na peryferiach w kilku wydłużonych liniach. Stację kolejową umieszczono również na zewnątrz. Gród średniowieczny pozostał nietknięty.

To znaczy pozostał nietknięty do r. 1943. Trzykrotne naloty aliantów zostawiły z budynków wewnątrz grodu same gruzy. Ocalały jedynie mury, 2 budynki świeckie, w tym biblioteka miejska i 2 kościoły, św. Jana i Mariacki. Zniszczenie miasta środkowego jest tak kompletne, że nadaje się tylko do zaorania. Baszty i strzelnice stoją nadal w całości.

Najważniejsze zaś, że małemu tylko uszkodzeniu uległ potężny i ciekawy gmach Mariacki, jeden z najpiękniejszych kościołów na Pomorzu Zachodnim, w stylu gotyku nadwiślańskiego, wzorowanego na Krzyżakach, coś podobnego do kościoła św. Jana w Toruniu. Jest w gmachu tym oszałamiająca śmiałość linii, kształty i wymiary imponujące, wnętrze surowe, podniosłe. Ktoś ze zwiedzających go w mej obecności wyraził się: „Dla tego kościoła, bodaj tylko dla niego, chciałbym zostać tu i osiedlić się w Starogardzie. Przychodziłbym tu co parę dni, popatrzałbym i nabrałbym nowej odwagi do pracy".

Dla etnografa ciekawe jest znajdujące się w staroświeckim domu, stojącym obok kościoła, muzeum regionalne. Uśmiech pobłażania wywołuje tutaj rodzaj lajkonika i turoń, które nauka przepędzonych dziś specjalistów niemieckich uważała za wyraz krajowej sztuki ludowej. Żadna siła ludzka ani wymowa nie przekonałaby ich, że to są słowiańskie elementy twórczości tubylców.

Nię tutaj jednak zatrzyma się polski podróżnik najdłużej. Jest jeszcze jedno miejsce, a właściwie jedyne, które skłania do zadumy i marzenia. Gród warowny, kamienny, to dzieło zakonu Johannitów i Niemców z XIII w. Do r. 1298 był jednak Starogard podgrodziem słowiańskim, skupiskiem domostw u stóp kasztelańskiego, pomorskiego grodu. Ten nas interesuje najbardziej.

Idąc wzdłuż rzeki Iny, odnajdujemy w pobliżu dzisiejszej baszty „z białą głową" dość strome wzgórze, objętością raczej małe, ale położone w tak czarującym ustroniu, na zakręcie rzeki ukrytej pod zielenią rozłożystych drzew, samo gęstą zielenią kasztanów i lip pokryte, że urok zapiera człowiekowi dech w piersi. Widok rozlega się stąd daleki.

Piękno zakątka samo wciska się w oczy. Poznaje się praojców, Słowian, iż tego właśnie dokonali wyboru na miejsce pod gród i poprzez wieki jest się im wdzięcznym, jest się za nich dumnym, że tu, a nie gdzie indziej osiedle stworzyć postanowili. Niemcy szli jedynie za zmysłem topograficznym i estetycznym słowiańskich autochtonów. Korygując zdanie towarzysza o kościele Mariackim, powiedziałbym o prasłowiańskim wzgórzu, że dla tego właśnie miejsca pozostać chciałbym w Starogardzie. Stąd czerpać otuchę i wiarę w piękno życia i mądrość naszej rasy.

U stóp słowiańskiego, nieistniejącego już grodu, pod murami czarujące ogrodnictwo. I znowu: gdybym był ogrodnikiem, brałbym ten warsztat pracy, tę poezję i zapomniałbym o całym świecie, uprawiając tu ogród, warzywa i owoce. Ta tafla wody, ta dwuwieżycowa baszta młyńska w pobliżu, ten spokój i dziwny, niczem nie zamącony nastrój ciszy przydałby się po 5 latach wojny. Pustelnia, jakieś Fontainebleau, jakieś Charmette, zupełnie rousseau'wski osiemnastowieczny krajobraz i wizja bytowania na łonie przyrody.

Całkiem inny widok uderza oczy po przejściu mostu pod dworcem. Jest tu arteria dzisiejszego życia, szosa prowadzona ze Szczecina do Krzyża czy Piły.

Tysiące wozów z ludnością polską, wracającą z Rzeszy do kraju. Jadą ludzie wozami drabiniastymi, końmi, idą pieszo, pchają wózki, posuwają rowery, taczki, dwukółki, wielu wlecze się o kiju: istna armia rozbitków. Zmęczenie wyziera z oczów i rysów twarzy. Rzadko błyśnie twarz młodego człowieka, junacka i zadzierzysta, kpiąca sobie ze świata i jego marnych doczesności.

Dowiadujemy się, że idą zza Odry. Próbujemy im wmówić, żeby zostali tutaj na Pomorzu. Mogą brać przedsiębiorstwa i ziemię. Nie chcą. Tęskno za domem. Pracowali po 4—5 lat w niemieckich folwarkach, po gospodarstwach, fabrykach. Za wszelką cenę chcą się dowlec do domu, zobaczyć swoich ludzi. Może powrócą, może osiedlą się tutaj kiedyś. Dzisiaj jedynym ich pragnieniem jest ujrzeć własną chatę i swoją rodzinę.

Skarżą się. Musieli czekać tydzień nad Odrą i pomagać przy budowie mostu. Nie dawano im jeść. Temu zabrano konie, tamtemu zmieniono lepsze na gorsze. Jeszcze innego pozbawiono całej chudoby tych paru ubrań, które sobie kupił za krwawo zapracowany grosz. Są tacy, którym nic nie pozostawiono, prócz nędznego przyodziewku na grzbiecie. Garnitury odświętne, obuwie, zegarek, trochę gotówki — wszystko zabrano.

Niepięknie przywitał ich kraj na samym wstępie. Trudno oprzeć się wrażeniu, że osad niechęci, który leży na dnie ich duszy, ma słuszną przyczynę. Nie wiem, czy istnieje polecenie, żeby milicja rewidowała tłumoki ludności polskiej, wywiezionej do Niemiec. Jeżeli tak, to przy rewizji nie powinna ginąć własność tych nędzarzy, nie powinna być zabierana, nawet jeśli wiozą zapasy i rzeczy, odebrane dotychczasowym dręczycielom — z wyjątkiem gdy idzie o tzw. szaber.

Długo nie zapomnę tego płaczu wieśniaków, ich żon i ich dzieci, stojących po rewizji na słońcu piekącym, na tej beznadziejnej drodze, setki kilometrów od domu i rodziny. Nie zapomnę tej staruszki, która stała, podnosząc ręce do góry i nie płakała, tylko patrzała jak błędna na resztki swego zagrabionego majątku. Nie wszyscy ludzie są abnegatami, nie wszyscy mogą przeboleć stratę mienia. Są tacy, którzy się wieszają, gdy im koń padnie. Ukrzywdzić kogoś w tej radosnej chwili, gdy wraca w podniosłym usposobieniu do kraju, znaczy zabić w nim na zawsze wschodzące ziarno przywiązania do tego kraju, samą treść i sens miłości Ojczyzny.

Miałem ze Starogardu udać się na jezioro Miedwie, do Kołbacza, sławnego klasztoru Cystersów, odwiedzanego dla jego piękności przez turystów z całego świata.

Gdy jednak uświadomiłem sobie, że to był punkt centralny germanizacji Pomorza Zachodniego, że gościł mnichów niemieckich, którzy ograbili w ciągu wieków ludność tego kraju z ziemi, obyczajów i mowy polskiej, powstrzymałem się od zwiedzenia klasztoru.

Zaprenumerować „ODRODZENIE"

można w każdym urzędzie pocztowym za pomocą przekazu pocztowego. Prenumerata miesięczna wynosi 21 zł., kwartalna 63 zł.

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

ARTUR SANDAUER

Uwagi o melodzie krytycznej

Wypowiedzi autorów o własnych dziełach grzeszą często naiwnością. Pewien znakomity pisarz, kiedy mu młody krytyk wyłuszczał z zapałem dalekosiężne konsekwencje jego dzieła: „Nie zauważył pan jednak — przerwał — niektórych i bodaj czy nie najważniejszych subtelności mojej książki. Tak np. pewne zdanie powtarza się w niej trzy razy pod rząd, a za każdym pojawia się o jeden wykrzyknik więcej". Młody krytyk zamilkł, stropiony nieinteligencją swego bożyszcza.

Krytyk dawnego typu znalazłby tu potwierdzenie teorii o roli natchnienia w sztuce i napisałby jak Boy-Żeleński o Mickiewiczu: „W chwilach wyjątkowych tworzył cuda, z których sam sobie później nie zdawał sprawy". Słowem powołałby się na freudowską podświadomość, która w poetyce początków XX wieku grała rolę klasycznej Muzy.

W istocie nie sposób udowodnić, że to nie ona dyktuje artyście owe, dla niego samego niespodziewane, arcydzieła. Ale nie sposób również wykazać nieistnienie pewnych zwierząt legendarnych, w które jednak nikt nie wierzy. Jest to przykład tzw. hypotezy zbytecznej, przyjętej wbrew arystotelesowskiej zasadzie, że założeń nie należy mnożyć, jeżeli nie są niezbędne. Ów błąd myślowy, niepotrzebne podzielenie życia psychicznego na dwa piętra, świadome i podświadome, wywodzi się ze zbyt powierzchownego ujęcia świadomości jako zawierającej tylko aktualne w danej chwili treści psychiczne. Nie uciekając się jednak do tej hypotezy, możemy stwierdzić, że osobowość nasza jest zbiorem pewnych nawyków, które stworzyła w nas nasza przeszłość. Wszystko, co było kiedyś aktualną treścią psychiczną, obumierając, staje się przyzwyczajeniem: mówiąc np. językiem obcym, nie uprzytamniamy sobie wyuczonych niegdyś reguł gramatycznych, lecz posługujemy się wytworzonym w nas gotowym mechanizmem.

Postępki nasze wynikają z dwu czynników: z pewnej pobudki zewnętrznej i z naszej osobowości, która je również określa, lecz z której nie zdajemy sobie jasno sprawy. Podobnie dzieło artystyczne jest najczęściej reakcją na pobudki zewnętrzne, której rodzaj jest uwarunkowany przez osobowość autora. Artysta zdaje sobie sprawę zazwyczaj tylko z aktualnej części dzieła tj. z treści; nie wie natomiast nic o warunkującej je własnej osobowości, równie dlań niedostrzegalnej jak np. dla wzroku własne plecy: a to właśnie najbardziej uderza odbiorcę. Stąd przytoczone powyżej nieporozumienia między krytykiem a pisarzem.

To, **co wyraża**, nazywamy zatem osobowością autora, podmiotem twórczym; to, **co ma być wyrażone**, zamiar artysty — treścią; to wreszcie, **co jest** wyrażone, ostateczny kształt dzieła — formą. Forma, tak pojęta, zawiera w sobie więcej danych dla analizy dzieła, niż treść sama; jest bowiem sumą treści i osobowości; prócz ideologii świadomej autora wyraża się w niej jeszcze ideologia naturalna, wynikająca z jego historycznego i społecznego umieszczenia. Badanie zatem formy jest drogą do odkrycia wszelkich zakłamań, tj. rozbieżności między treścią zamierzoną a mimowolną, naturalną. Tak np. absurdalny dowcip Rabelais'go, odzwierciedlający — jak usiłowałem wykazać w artykule „O nonsensie" („Kuźnica", nr 2) — ideologię anarchicznego indywidualizmu, wyraża dobitniej, niż jakiekolwiek sformułowania treściowe, postawę polityczną autora: niechęć do katolicyzmu, zarówno jak do protestantyzmu, ideał absolutnej wolności człowieka, ucieleśniony w opactwie Thelemitów. Przykładem — odwrotnie — niezgodności między treścią zamierzoną a naturalną, owego fałszu, który jest miernikiem słabości dzieła, mogą być romanse Georges Ohneta, gdzie autor chciał przedstawić życie tzw. wyższych sfer, ideał dobrego tonu itp., a dał tylko pokaz snobizmu. Podobnie — aby z nizin literatury przejść do jej szczytów — naturalna ideologia mieszczańska Balzaka jest w sprzeczności — jak to wykazał Boy-Żeleński — z jego świadomą tendencją monarchiczną. Toteż wszędzie, gdzie ujawnia się ta rozbieżność, powstają efekty wysokiego, choć mimowolnego komizmu. Tylko tam, gdzie dochodzi do głosu naturalna, nie wykoncypowana ideologia mieszczańska, Balzac jest znowu sobą — genialnym obserwatorem.

Zadaniem krytyka jest zbadanie tej, wyrażonej w formie, zgodności między osobowością autora a treścią utworu. Wydobywa on na jaw i formułuje pojęciowo to, co, niedopowiedziane w dziele, wynika tylko z jego kompozycji, ze stosunku wzajemnego składników. Poprzez jednolitość utworu bada zatem jego uczciwość: ocena nie tylko **estetyczna**, lecz także i **moralna**. Wreszcie stwierdza tym samym stopień **prawdziwości**, z jaką autor wyraził swą osobowość, a poprzez nią ukazał historyczno-społeczną rzeczywistość, z której wyrasta. W ten sposób odkrywa krytyk w dziele sztuki głoszoną przez starożytnych tożsamość piękna, dobra i prawdy.

Im stopień jednolitości wyższy, tym utwór doskonalszy. Dzieła zupełnie jednolite podobne są żywym organizmom, gdzie wszystko od idei zasadniczej do najdrobniejszych szczegółów formy, podlega tym samym prawom. Zadaniem krytyka nie jest więc — jak sądzi Roman Ingarden („O poznawaniu dzieła literackiego", str. 270) — „przedstawienie konkretyzacji estetycznej" czyli — mówiąc po prostu — swego odbioru dzieła, co w gruncie rzeczy sprowadza się do opowiedzenia go własnymi słowami z dodatkiem paru uwag estetycznych, a więc do krytyki impresjonistycznej w stylu Lemaitre'a, lecz odkrycie i sformułowanie zasad organizacyjnych utworu. Tak np. ideę zasadniczą twórczości Leśmiana (że wszystko jedno dokąd się dąży, bo jedynie samo dążenie, sam proces życia jest ważny), niewypowiedzianą nigdzie wyraźnie odnajdzie on zarówno w pewnych mimochodem rzuconych urywkach treściowych („Szedł skądkolwiek gdziekolwiek", „wędruje bylejako w świat niebylejaki" itp.), jak i w samej formie jego utworów, umyślnie ladajakiej, niby to puszczonej luzem, często pokracznej, jak jego ułomni bohaterowie, lecz zawsze realizującej — mimo pozornej niedbałości lub może dzięki niej właśnie — zamierzany cel artystyczny.

Podobną jednolitość treści i formy możemy stwierdzić w każdym arcydziele. Odwrotnie, utwory wielkich nawet artystów, kryjące wewnętrzną niezgodność, są lodowate lub sztuczne. „Eneida" Wergilego np. powstała na zamówienie cesarza; brak jej jednak zamówienia społecznego, toteż autor nic nie mógł wykrzesać z siebie serdeczności dla narzuconego mu, lecz nikomu — prócz cesarza — niepotrzebnego tematu. Gdzie indziej znów dostrzegamy rozbieżność między zamówieniem społecznym a osobowością pisarza, który — mimo najlepszych nieraz chęci — nie dorósł doń jeszcze lub pozostał za nim w tyle. Tym się tłumaczy np. milczenie Aleksandra Błoka po rewolucji i po napisaniu „Dwunastu": rozumiejąc jej konieczność i znaczenie nie umiał jednak znaleźć się w nowej rzeczywistości.

Badając strukturę wewnętrzną współczesnego dzieła krytyk może ocenić jego doskonałość; lecz nie jego wielkość. O tej decyduje tylko historia: dziś już np., po 70 latach, możemy stwierdzić, że sonety Heredii mimo swej nieskazitelności nie stanowią epoki w dziejach kultury. Błędem było by jednakże utrzymywać, że wielkość dzieła wywodzi się z jego powodzenia w ciągu wieków lub też odwrotnie powodzenie z wielkości: są to bowiem wartości odwracalne, wynikające z siebie nawzajem. Lecz o nich decyduje, co więcej — stwarza je dopiero przyszłość. Dzieło zyskuje je w miarę jak wrasta w kulturę, jak staje się cząstką nas samych, jak tracimy doń stosunek ściśle obiektywny, gdyż to, **czym** chcemy sądzić, nasza umysłowość, jest już częściowo wytworem tego **co** chcemy sądzić: owego dzieła. Sędzia jest już przekupiony. Żaden Polak nie potrafi już dziś ocenić obiektywnie dzieła Mickiewicza, gdyż sam z niego wyrasta: czuje tylko jego wielkość tj. tożsamość ze sobą. Czytelnik cudzoziemski znów nie oceni go w pełni, gdyż jest ono dlań wyzute z owej tradycji, którą dla nas obrosło, a która stanowi dzisiaj, nie mniej niż tekst dosłowny, jego istotny składnik. Doszukiwać się jednak w dziele tych wartości z góry, nim ono je jeszcze nabyło, określając je jednym z terminów: oryginalność, postępowość, „pierwiastki kulturotwórcze" itp., to jak gdyby objaśniać za Molierem działanie opium tym, że ma właściwości usypiające. „Pierwiastki kulturotwórcze" powstaną dopiero wtedy, gdy tę kulturę stworzą.

Każde arcydzieło przeszłości dociera więc do nas niejako na wiarę, spotężniałe autorytetem wieków i historyk literatury lub sztuki nie kontroluje już właściwie tej, nie przez niego wydanej, oceny; notuje ją tylko. Toteż, jeżeli przez jeden z bardzo rzadkich w dziejach kultury przypadków utwór nie dochodzi do nas stopniowo, lecz przesadza przeszłość jednym susem, jak ów odnaleziony po dwutysiącletnim leżeniu w piaskach egipskich papyrus grecki Bakchylidesa, stajemy wobec niego bezradni: jego doskonałość już nas nie obchodzi, a o wielkości bez poparcia tradycji nie umiemy rozstrzygnąć.

Dla dzieł teraźniejszości tradycja ta w ogóle nie istnieje; tworzy ją w pierwszym rzędzie krytyk. Jest on historykiem przyszłej literatury, od niego — jak i od czytelnika — zależy, które z dzieł, uznanych za doskonałe, dostąpią wielkości. I nie jest to stwierdzanie już, lecz walka i nie zadanie już, lecz naturalny wynik jego działalności. O wielkości w dziejach literatury rozstrzyga tylko ostateczne zwycięstwo; krytyk to ten, który zgodnie ze swym przekonaniem o zwycięstwo to — mniej lub bardziej skutecznie — walczy.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

SPRAWA WYOBRAŹNI

Związek Zawodowy Literatów Polskich
Cena 35 zł
Do nabycia we wszystkich księgarniach

ZOFIA LISSA

Muzyka radziecka w latach wojny

Trudno jest pisać o muzyce radzieckiej dla polskiego czytelnika. Zbyt mało interesowano się w Polsce przedwrześniowej tym, co dzieje się za wschodnią granicą w zakresie muzyki, jakie etapy przechodzi proces formowania się radzieckiej kultury muzycznej. Tym trudniej w ramach krótkiego artykułu pisać o tej muzyce w latach wojny 1941—1944 r.

Głęboki związek z muzyką ludową, dbałość o rozwój poszczególnych kultur narodowych narodów Związku Radzieckiego, łączność z tradycjami rosyjskiej klasyki XIX w., niechęć do pustego eksperymentatorstwa — czego nie należy utożsamiać z brakiem poszukiwań nowych form i środków wyrazu — oto wytyczne tego procesu. Głęboki szacunek i zachwyt całego świata muzycznego dla twórczości radzieckich kompozytorów, wysoki poziom i żywość zainteresowań muzycznych ludności ZSRR — oto skutek tego procesu.

A teraz po parę słów o najwybitniejszych dziełach radzieckiej muzyki zrodzonych w burzy wojny:

VII symfonia **Szostakowicza** od chwili powstania stała się międzynarodowym symbolem walki ludu radzieckiego z ciemnymi siłami faszyzmu. Zrodzona w pierwszych miesiącach wojny w oblężonym Leningradzie, między jednym a drugim nalotem niemieckich bombowców, cyklopiczna w budowie, jaskrawa w ostrych konturach tematu, w boleśnie zgrzytliwych efektach instrumentacji jest wyrazem namiętnego protestu przeciw temu wszystkiemu, co niósł ze sobą najazd niemiecki. W Ameryce nazwali ją „leningradzką". W prasie radzieckiej utarło się określenie: „symfonia walki i zwycięstwa", kompozytor sam, nazywając ją skromnie: „siódmą", poświęcił miastu rodzinnemu Leningradowi, co najlepiej wskazuje na jej ideowe podłoże: „siódma" — to symfonia walki dwóch sił, ciemnej, burzącej, barbarzyńskiej i jasnej, twórczej, człowieczej. „Siódma" — to nie utwór programowy, batalistyczny, lecz utwór, w którym znalazł swój muzyczny wyraz tragizm naszych dni.

Niegdyś Szostakowicz słynął jako kompozytor groteski, ironii muzycznej, dziś pokazał nam drugą stronę swego oblicza twórczego. Odczucie dramatu człowieka radzieckiego w obliczu kataklizmu dziejowego jest źródłem VII-mej symfonii. Jeszcze w bardziej skondensowanej formie wyrazu leży ono u podstaw VIII-mej symfonii i znajduje swój wyraz we wstrząsającym „danse macabre" ostatniego tria Szostakowicza. Ale wszędzie przeradza się to uczucie w zwycięski optymizm — w finale „siódmej", w klarownej środkowej części ostatniego kwartetu i in.

Jeśli kiedykolwiek w historii ludzkości muzyka była orężem w walce o słuszną sprawę, to twórczość wojenna Szostakowicza w pełni zasługuje na to zaszczytne miano.

Inaczej zupełnie wyrażają się patriotyczne uczucia **Chaczaturjana.** Syn słonecznej Armenii, dziecko kaukaskich gór — i w czasie wojny nie traci swego żywiołowego optymizmu. Jego balet „Gajane", jego II-ga symfonia tchną afirmacją życia, radością istnienia, upojeniem pięknem dźwięku, rytmu, kolorytu. Synteza wschodniej, improwizacyjnego typu melodyki z dynamiką ruchu, wywodzącą się od tańca, leżą u podstaw muzyki Chaczaturiana. Synteza „wschodu" ze środkami techniki kompozytorskiej współczesnej Europy dają mu całą jego oryginalność i bogactwo stylu. Stąd w muzyce Chaczaturiana rytmiczny rozpęd, bogactwo kolorytu, jaskrawość kontrastów; stąd iskrząca się barwami paleta orkiestrowa, stąd od rosyjskiego symfonizmu idący rozmach tematyk.

Chaczaturian to zjawisko poniekąd typowe dla współczesnego etapu rozwojowego muzyki radzieckiej: elementy ludowej sztuki różnych narodowości Związku Radzieckiego wtopione w arsenał środków i język harmoniczny, wykształcony wiekowym rozwojem europejskiej muzyki, to wszystko widziane przez pryzmat ideowy współczesnego człowieka radzieckiego — tworzą istotnie nowe i trwałe wartości estetyczne muzyki radzieckiej.

Jeszcze bardziej związana z dniem dzisiejszym jest dramatyczna II-ga symfonia Chaczaturiana, zadziwiająco podobna w swym ideowym rozwoju do VIII-mej symfonii Szostakowicza, choć zupełnie odrębna w swych środkach wyrazu (dramatyczna część pierwsza, marsz pogrzebowy, przechodzący w klątwę gniewu i zemsty i oda, zapowiedź zwycięstwa — jako finał). Obie, podobnie jak epicka, ludową, rosyjską melodyką przepojona symfonia **Popowa** pt. „Ojczyzna", są wyrazem faktu, że kompozytorzy radzieccy oddychają atmosferą dnia dzisiejszego, myśleli i czuli kategoriami surowych dni wojny i twórczością swoją pragnęli służyć zwycięstwu dobra nad złem.

Podobnie historyczne i ideowe podłoże ma oryginalna w swym uzbeckim kolorycie „Heroiczna symfonia" młodego uzbeckiego kompozytora **Aszrafi.** Zamknięte dawniej w sobie i skostniałe kultury muzyczne wschodnich narodów wchodzą w zupełnie nowy dla nich etap historyczny, jednocząc się z formami i środkami konstrukcji dźwiękowej Zachodu. Swoimi melodyczno-rytmicznymi elementami wnoszą wiele nowego (nie w sensie taniej „egzotyki") w ogólny potok muzyki radzieckiej.

Aszrafi jest tego żywym przykładem, podobnie jak i twórczość kompozytorów Armenii i Gruzji, którzy znalazłszy w impresjonizmie muzycznym bliskie sobie kategorie muzycznego myślenia, stworzyli swoiste ośrodki, prawie że „szkoły" w ogólnym nurcie muzyki radzieckiej.

W latach wojny ogromnie rozwinęła się i pogłębiła twórczość **Prokofiewa.** Styl Prokofiewa wieloma nićmi związany był z francuskim neoklasycyzmem. Można nawet Prokofiewa uważać do pewnego stopnia za prekursora tego kierunku. Ale powrót do Związku Radzieckiego, zetknięcie z rodzimą glebą i kulturą pogłębiło w nim poczucie przynależności do rosyjskiej kultury. To pozwoliło zabrzmieć nowym, znacznie głębszym tonom w jego twórczości. Śmiało rzec można, że niedawno przedstawione publiczności jego dzieło, opera „Wojna i pokój", osnuta na tle powieści Lwa Tołstoja, to utwór genialny. Temat — obrona Rosji w roku 1812, pozwolił kompozytorowi znaleźć wyraz tak wstrząsający siłą emocjonalnego napięcia tonu, że słuchacz, znający twórczość Prokofiewa z jego parysko-amerykańskiego okresu, dopiero teraz w całej pełni pojmuje, co znaczy zetknięcie się twórcy z glebą ojczystą.

W latach wojny Prokofiew pisał — prócz muzyki do wielu filmów — swoją 7 i 8 fortepianową sonatę (zwłaszcza w 7-ej czuje się „lwi pazur" mistrza), sonatę fletową, balet „Kopciuszek", balladę „O nieznanym chłopcu", suitę „Rok 1941" i inne.

Dzieło „Wojna i pokój" Prokofiewa, choć tematycznie nie związane z aktualną tematyką, owiane jest jednak duchem dnia dzisiejszego. Jeśli idzie o radziecką twórczość operową, bezpośrednio nawiązującą do tematyki wojennej, to na pierwszy plan wysuwają się opery **Kabalewskiego** („W ogniu", „Pod Moskwą") i **Dzierżyńskiego** („Nadieżda Swietłowa"). Kabalewskij umiał w swojej operze, osnutej na tle bohaterskiej obrony Moskwy w 1941 r., znaleźć patetyczny język „historyczności" dla zdarzeń dnia ledwie minionego.

Tematycznie odległa od współczesności, ale również związana z ideą walki narodu rosyjskiego o wolność, jest bohaterska opera **Kowala** „Pugaczow", oratoryjno-monumentalna w formie, głęboko przepojona rosyjską ludową melodyką. Opera ta, w której chór, symbolizujący naród zajmuje centralne miejsce, zdobyła kompozytorowi zaszczytne laury stalinowskiej nagrody.

Gatunek historycznego oratorium ma w muzyce radzieckiej swoje głębokie tradycje („Kulikowe pole" Szaporina, „Aleksander Niewskij" Prokofiewa i in.). „Opowieść o bitwie o ziemię rosyjską" również **Szaporina,** jest próbą wyrażenia w monumentalnej formie patosu heroicznej walki rosyjskiego narodu z faszystowskim najazdem. Epopea miasta-bohatera, Stalingradu, jest ideową osią oratorium: Stalingrad — opoka, o którą rozbiły się hordy niemieckie, Stalingrad, który swoją bezprzykładną w historii walką uratował Europę od zalewu faszyzmu — oto kościec oratorium Szaporina. 12 obrazów-bylin o męce i męstwie, o mądrości i wytrwałości ludu rosyjskiego — oto forma tego utworu, nawiązującego do rosyjskich tradycyj w traktowaniu masy-chóru i do haendlowskiej techniki oratoryjnej, która na tle chóru plastycznie pozwala wystąpić solistom-symbolom (starzec — mądrość ludzi; matka — ofiarne cierpienie; wojownik — bohaterska walka).

Ideowe nasycenie, pogłębienie emocyj, szlachetny patos bohaterstwa, widoczne są w twórczości kompozytorskiej, tematycznie nie związanej z wojną. Tu należy twórczość nestora radzieckiego symfonizmu, **Miaskowskiego,** który w czasie wojny napisał dwie nowe symfonie, kwartet, kantatę „Kirow z nami" i in. Tu należy też twórczość mistrza kameralnej muzyki **Szebalina,** który kontynuując swoją pracę w dziedzinie kwartetu smyczkowego jeden z nich tzw. „słowiański" opiera na motywach różnych słowiańskich narodów, między innymi i na polskich.

Należy tu podkreślić szybkość, z jaką kompozytorzy radzieccy zareagowali na „kwestię polską". Powstanie Związku Patriotów Polskich, organizacja Armii Polskiej w Związku Radzieckim, walka narodu polskiego o wyzwolenie spod hitlerowskiego jarzma, wywołały żywe zainteresowanie się folklorem polskim: około 20 opracowań polskich pieśni ludowych, tańce polskie dla fletu, poemat skrzypcowy, polskie preludia fortepianowe **Iwannikowa,** który obecnie pracuje nad oratorium o nowej Polsce, opracowania pieśni ludowych **Kowala, Białego** i in. — oto konkretny rezultat tych zainteresowań.

Okres wojny stworzył ogromne zapotrzebowanie pieśni masowej i wywołał ożywioną działalność kompozytorów w tym dziale. Pieśń jednoczyła ludzi w ich przeżyciach, pieśń była reakcją na wypadki dnia, pieśń była orężem w walce, radością w chwili odprężenia. Pieśni powstawały i mijały wraz z chwilą, która je rodziła, ale wiele z nich ostało się i przetrwało na długo jak np. niektóre pieśni **Aleksandrowa** („Święta wojna"), **Sołowiewa-Siedego** („Wieczór na rejdzie"), **Blautera** i in. Radziecka pieśń masowa spełniała w czasie zawieruchy wojennej określone, ważne funkcje społeczne.

Bohaterska walka ludu radzieckiego o wolność niezwykle wzmogła twórczość radziecką, wzbogaciła sztukę, pogłębiła jej ideowe i uczuciowe podłoże, zbliżając ją zarazem do uczuć i idei całego narodu.

Zadaniem polskich kół muzycznych w najbliższej przyszłości będzie zapoznać społeczeństwo polskie z tym bogatym dorobkiem kompozytorów radzieckich, przedstawicieli tego narodu, który swoją krwią i bohaterską ofiarnością dopomógł Polsce w jej walce o wyzwolenie spod faszystowskiej okupacji.

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA *)

Dziwny był później ten powrót do domu z Dzianwą. Stary był rozklejony od jednego kieliszka wina, który wypił. Mówił Barazowi naprzemian jakieś czułe słowa na temat, że jest młody i że wielkie ma przywileje. I zaraz przechodził na niejasne impertynencje, że młodzi żyją, nie zdając sobie sprawy, co to za dar, ani jak olbrzymie nakłada to na nich obowiązki. Skończyło się na jakichś pacyfistycznych frazesach. Odprowadził starego, bo mieszkał gdzieś niedaleko na Mokotowie. Wysłuchał od niego wielu paradoksów i dziwactw. W pewnej chwili odpowiedział mu, że podziwia w ludziach bohaterstwo, ale go od nich nie wymaga. Dzianwa utrzymywał, że właśnie podjęte, jako obowiązek, jest męczeństwem. Ale musi być zrodzone z zachwytu, w uniesieniu, jako własne odkrycie. Zgodzili się, że to jest dane niewielu, ale nic jakoś przez to nie osiągnęli. Baraz umówił się, że go o oznaczonym dniu odwiedzi. Miał współczucie dla tego starego pozytywisty, zabłąkanego w dzisiejszy irracjonalny świat, którego niezdrowym suggestiom zdawał się już i on ulegać. To z historią i granicami było niewątpliwie bardzo nastrojowe. Raz sobie rozważał historię jako jej przedmiot, a zaraz później jako dyscyplinę. No i mała pod koniec idylla z generałową Wysokolską, też nie była pozbawiona dziewiętnastowiecznego smaczku. Ich poczciwy stary socjalizm bez konsekwencji i zacna niewiara w Boga, były dla Baraza stylowe, jak menuet.

Nagle Baraz posłyszał dzwonek i zerwał się z poczuciem winy, jakby od razu odgadł, kto jest za drzwiami.

Istotnie osobą, którą ujrzał przed sobą, była Katarzyna.

— Jesteś! — krzyknęła z ulgą raczej, niż radością.

Była zdyszana i przerażona, nie zła.

— Jakto, nie wzięłaś windy? — spytał troskliwie. — Jak mogłaś?

— To nic, — przerwała szorstko, uchylając się od jego powitań.

On raczej czuwał, by konwenans miłosny został zachowany. Pociągnął ją w głąb przedpokoju i całował, jakby był stęskniony. Zdjął z niej pachnące futro, z którego wywinęła się nie duża, bronzowa, cienka, łamiąca się w pasie, jak cyganka.

Weszła do pokoju i bacznie się rozejrzała.

— To pan wyłączył telefon? — zdziwiła się. — Myślałam, że jest zepsuty.

Baraz zmieszał się, sądząc, że został odgadnięty. Ale nie był.

— Czyżby i pan chciał przespać się po obiedzie? To było by zabawne!

Odrzekł niepewnie, że nie miał tego zamiaru.

— Chciał pan tylko odpocząć?

Śmiała się w najlepsze. Nie ułatwiała mu zadania.

— Dlaczego jesteś taka? Usiądź, o, tutaj.

Usadził ją w tak zwanej berżerze, co nie było taktycznie najrozsądniej. Przysiadł obok na poręczy.

— Musisz się dziwić, że przyszłam, pomimo... No, wiesz...

— Wcale się nie dziwię, — rzekł poważnie. — Nie mów tak.

Ponieważ zajął jej usta pocałunkami, więc umilkła. Jednak wyczuwał w niej wciąż opór i dąsy.

— Poczekaj. Bo ty nie wiesz...

Baraz nie chciał nic wiedzieć. Było jasne, że jeżeli do niego przyszła, to widać pogodziła się już uprzednio ze swoim losem. Wykręcała się od pieszczoty, ale cały jej opór był bezradny i nawet niedbały. Zamyślona zdejmowała z siebie brązową wełnę, różowe znikome łaszki, patrząc przez chwilę na każdą rzecz, zanim ją gdzie bądź położyła. Wyglądało, jakby usiłowała zebrać myśli, które wciąż jej się rozlatywały:

— Nie, nigdy ci nie daruję, że musiałam tu przyjść.

Tak mówiła. I kręciła mu się w rękach, odwracając od pocałunków gorącą twarz. Doprawdy nie było już przy czym obstawać, przecież resztkami pychy w sobie opierała się wciąż jeszcze.

I w tym leniwym, beznadziejnym oporze nagle wydała mu się niezmiernie piękna, ponad wszelką miarę pociągająca. Stała się dlań przedmiotem najwyższego uwielbienia, do jakiego człowiek jest zdolny, przedmiotem zachwytu, od którego łomoce serce i ciemno robi się w oczach.

— Ach, ty cudna, — powtarzał, — ty jedyna... — I jego zduszony zachrypły głos brzmiał, jak hymn.

Jednak chwila tak wysokiej oceny, koniunktury tak znakomitej, nie była długotrwała. To prawda, że nie pogardzał tą kobietą, jak innymi. Ale zrozumiał jednak po jakiejś chwili, że cały jej urok niezmierny, cała jej nieprzebrana, odurzająca uroda — tak łomka i przelotna, tak jednorazowa — wynikła z tego wyłącznie, co zachodziło w nim samym. Że to on obdarzał ją pięknością z własnych uczuciowych zasobów. I te chwile jej nieziemskiego powabu opłacił najlepszymi siłami swej duszy.

Nie czuł do niej niechęci, gdy jak inne kobiety, zbierała z najbliższych sprzętów porozrzucane ubranie i kryła nim spiesznie swą niepotrzebną nagość. Jak inne kobiety szukała przez chwilę torebki, która leżała w miejscu widocznym. To coś ludzkiego, co budziła w nim jeszcze teraz, było targającym współczuciem, ostrym żalem, że oto tak z nią jest.

Była już od stóp do głowy brązowa i odporna, była rozczarowana i gorzka. Zatrzymał ją, gdy chciała odejść.

— Tylko nie myśl czasami, że cię kocham,— powiedziała.

— Czasami mógłbym pomyśleć, — odrzekł z uśmiechem.

Nie patrząc mu w oczy piła czarną kawę, którą sam przyrządził. Wąchała jej gorący aromat, zanim przyłożyła wargi do brzegu filiżanki.

— Bo może ci się zdawało, że idzie mi o ciebie. To nieprawda. Mnie jest wszystko jedno.

Powinien był wiedzieć, że uległa nie jemu, tylko samej sobie. Że nie mogła inaczej ugasić noszącego ją piekła.

— Nie jest ci wszystko jedno, — powiedział surowo. I mocno przytrzymał ją za rękę, ponieważ znowu zrywała się do ucieczki.

— Ale w to przecież nie uwierzysz, że jesteś pierwszym moim kochankiem, — prawda? Nawet gdybym ci to powiedziała...

— Kasiu! — upomniał ją znów i odsunął się od niej prawie zgorszony.

Właśnie to przypuszczenie przejęło go największym niepokojem.

Śmiała się głośno. Jej zęby zadzwoniły o filiżankę, piękne wypukłe zęby, które miała po starym Wysokolskim. Ostrożnie odstawiła spodeczek i zaniosła się płaczem. Dusiła się od łkań.

Jak wtedy za pierwszym razem usiadł tuż przy niej. Ale nie pytał jej już, dlaczego płacze. I nie śmiał jej całować.

Czuł jak płacząc, tarzała mu się twarzą po piersiach, czochrała sobie włosy o jego ubranie. Wziął jej rękę, głaskał ją po wierzchu dłoni. Ale to było wszystko.

ROZDZIAŁ VIII.

Edmund wybiegł za Sonką na schody.

— Nie śpiesz się tak, wróć jeszcze na chwilę, — namawiał, dopadłszy jej na dole.

— Nie wrócę, daj mi pokój, — broniła się.

— Zaraz cię odprowadzę. Ale widzisz, nie mogę tak zostawić ojca. Katarzyny jeszcze nie ma, a i służąca zeszła gdzieś na chwilę. Nie powinnaś była tak się gniewać. Jest rzeczywiście bardzo roztargniony, ale naprawdę chce ci to zrobić.

Sonka nie dała się przekonać.

— Sam chyba rozumiesz, że muszę jeszcze czegoś próbować.

— Dziś przecież nic nie zrobisz. Dopiero jutro... Zresztą on i tak już pewno nie żyje...

Widząc, że się od niego odstrychnęła na te słowa, prędko dodał:

— Dokąd właściwie chcesz iść teraz? Kogo znajdziesz?

Nie wiedziała, dokąd chciała iść. Chciała tylko nie być tam dłużej. Nie mogła spokojnie rozmawiać w ciepłym zacisznym pokoju i myśleć o tamtym konającym.

Przyrzekła mu tutaj poczekać, więc wrócił jeszcze na górę. Musiał sprawdzić, czy już wróciła służąca i namówić ojca, by nie pracował jak zwykle wieczorem. Wydawał mu się coraz bardziej dziwny i nie po raz pierwszy pomyślał, że to jest coś więcej, niż roztargnienie, niż zdenerwowanie i zmęczenie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

*) Ciąg dalszy. Por. nr nr 13—29 i 31—33 „Odrodzenia".

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Głos w dyskusji i dzwon na alarm

W 29 numerze „Odrodzenia" Mieczysław Jastrun ogłosił artykuł pt. „Potęga ciemnoty". Polemizował z nim w numerze 34 Zbigniew Przygórski. Ten drugi artykuł („Przeciw potędze ciemnoty") zmusza mnie do zabrania głosu w dyskusji. Bo jasna sprawa — problem antysemityzmu w Polsce — wymaga uderzenia w dzwon na alarm. Przygórski wykrzywił sens artykułu Jastruna. Imputuje mu potępianie całego społeczeństwa polskiego w czambuł za antysemityzm. Jastrun, jak większość czołowych pisarzy polskich — skorzystał z autorytetu niewątpliwie przysługującego jego słowom, by zabrać głos w sprawie stosunku do człowieka, by zdemaskować ohydę przesądu. W tej samej sprawie zabierali w Polsce głos Łukasiński, Mickiewicz, Norwid, Prus, Dygasiński, Zapolska, Nałkowski, Żeromski. Sens wystąpienia Jastruna — jak i sens wystąpień tych innych przodujących pisarzy polskich — nie polegał na potępianiu całego społeczeństwa. Owszem Jastrun z dużą troską o ścisłość widzi źródło antysemityzmu w pewnych odłamach drobnomieszczaństwa. Toteż insynuacje Przygórskiego są właściwie nieprzyzwoitością wobec zasłużonego poety, którego wypowiedź jest słuszna. Przesunięcie zaś punktu ciężkości rozważań ze sprawy ciągle groźnego antysemityzmu na sprawę odpowiedzialności za zbrodnie hitlerowskie jest u nas społecznie szkodliwe. Za zbrodnie niemieckie odpowiadają Niemcy. To jasne. Natomiast problemem społecznie istotnym jest antysemityzm w Polsce. Za rozprawianie się z nim ludzkie i budzące szlachetne uczucia moralne należy się Jastrunowi uznanie i szacunek. Ten antysemityzm był u nas przed 1939 r., trwał w czasie okupacji niezdławiony falą krwi ku ohydzie i poniżeniu każdego z nas przelewanej przez Niemców, istnieje jak złowrogi upiór i dzisiaj. Okazał się trwalszy od społeczeństwa żydowskiego.

Jak patrzeć na to zagadnienie?

Antysemityzm w XIX w. występował ogólnie mówiąc jako produkt uboczny rozkładu społeczeństwa kapitalistycznego, był funkcją ustroju. Niedomagania anarchicznej gospodarki kapitalizmu znajdowały swój ideowy odpowiednik w szczuciu ludzi przeciw ludziom przez wyzyskiwanie także swoistości struktury ludnościowej danego kraju.

Problemu żydowskiego u nas już nie ma. Z dawnej ilości obywateli żydowskiego pochodzenia nie zostało nawet 10 procent. Ta ilość na obszarze dzisiejszej Polski, w masie narodu, w ramach obecnej struktury gospodarczej nie jest ani zagadnieniem ludnościowym, ani ekonomicznym, ani nawet politycznym.

Pewnego rodzaju zagadnieniem są co prawda ci obywatele Żydzi, których już nie ma. W ogólnym bilansie strat ten upust krwi, ta zagłada fachowców wielu dziedzin — to wielka strata społeczna dla nas. Ale nie o to chodzi

Antysemityzm dzisiejszy nie jest funkcją aktualnych stosunków ekonomicznych, nawet aktualnych aspiracyj politycznych. To typowy objaw znanego historykom i socjologom faktu opóźniania się procesów psychologicznych w stosunku do przemian społecznych i gospodarczych. Tak jest w masie; wyzyskiwanie tego przez reakcjonistów to fakty odosobnione i skazane na rychłą zagładę.

Ma słuszność Przygórski mówiąc, że antysemityzm nie jest siłą polityczną — siła jest po stronie demokracji. Ale też ma rację Jastrun widząc w trwałości antysemityzmu potęgę ciemnoty.

Znikło wszystko, co mogło warunkować antysemityzm jako zjawisko społeczne — poza przesądem, poza ciemnotą.

Ponury psychopata, który wierzy, że spełnia jakąś historyczną misję, gdy morduje dogorywających w lubelskim szpitalu jeszcze dwóch Żydów z ocalałej garści — jest symbolem niepokojącego zwyrodnienia. Jeśli zresztą ten zbir robi to dla jakichś tam innych niskich celów, jako ślepy najmita reakcji, to trzeba dobrze pamiętać, że wiele faktów mówi, iż są tacy, co może niezdolni są osobiście do zbrodni, ale którzy gotowi są wierzyć, iż sam fakt żydowstwa czyni z człowieka demona o złowrogiej sile zdolnej zmieniać drogi historii. I taka przesądna wiara wsuwa narzędzia mordu w ręce zbrodniarzy, pcha wielu do aktów nienawiści, ogłupia wszystkich ciemnych i przesądnych.

Antysemityzm był w Polsce częsty, trwał długo. Jeśli dziś jeszcze występuje — po tym wszystkim co się stało — jest groźnym symptomem, świadczy, że ciemnota u nas jest głęboko zakorzeniona, wyrastać bowiem może coś podobnego tylko na tle ogólnego niedołęstwa myśli. I znów trzeba podkreślić — dotyczy to poziomu myślenia wśród drobnomieszczaństwa, części niedouczonej inteligencji. Wolny jest od tego i uświadomiony na ogół robotnik i chłop ze swoim chłopskim rozumem. Dowodem obecność haseł antysemickich w ruchach drobnomieszczańskich pozostających pod wpływami reakcji, całkowita nieobecność w ludowych i robotniczych i to od lat. Przesądem jest przypisywanie decydującego wpływu na postępowanie człowieka sytuacjom indywidualnym i społecznym wynikającym z przynależności tego człowieka do właściwej mu grupy narodowej. Jest to przesąd z punktu widzenia wyników nowoczesnej, empirycznej wiedzy o kulturze. Granice wpływu takich sytuacyj są nam dobrze znane.

Mamy tu do czynienia z tym samym typem przesądu co szlachecka wiara, że o wartości postępowania człowieka decyduje przynależność do określonej grupy stanowej. Cham zawsze chamem — mawiał Zagłoba — a w szlachcicu zawsze kawalerska fantazja. Wiemy co o tym sądzić. Ale czyż mamy sto lat czekać na zrozumienie przez ogół przesądu antysemityzmu?

Podstawowym zadaniem intelektualistów, pisarzy, nauczycieli jest przyspieszać ten proces dojrzewania umysłowego społeczeństwa. Antysemityzm wyrasta na podłożu ciemnoty, na podłożu niechlujnego, niekontrolowanego myślenia, na powtarzaniu niekrytycznych stereotypów myślowych, na podłożu zwłaszcza zmniejszonej świadomości moralnej, zaniku uczuć społecznych i moralnych.

Trzeba więc uderzyć w dzwon na alarm. Trzeba zorganizowanej akcji leczenia — akcji świadomie podjętej przez pisarzy, nauczycieli, przodowników organizacyj społecznych, a zmierzającej do wykorzenienia nawyków myślenia przesądnego, niechęci do krytycyzmu, nieznajomości rzetelnej, empirycznej wiedzy o kulturze, społeczeństwie i człowieku, która nie daje bynajmniej różanej wody — jest gorzka i surowa — ale też jest jak wszelka prawda — moralna i wolna od piętna krzywdy ludzkiej.

ROK 1945

Drogą Chełm—Warszawa

1

Gdy dysponujące władzą na skutek udałego zamachu wojskowego dokonanego przez swego przywódcę stronnictwo tzw. sanacji umocniło się dostatecznie, by narzucić państwu swą legalność i swój program ideologiczny i personalny — przeprowadziło takie wybory, by osiągnąć kwalifikowaną większość i uchwaliło konstytucję, która uzyskane pozycje miała utrwalić. Nie mieli jednak chyba najzacieklejsi ze zwycięzców wątpliwości, iż podbudowa społeczna konstytucji 1935 jest wątła a właściwie żadna i że jej trwanie uzależnione jest niemal wyłącznie od ostrości bagnetów, które ją podpierały.

Te bagnety wyszczerbiły się w 1939 r. Kto inny jął dla Polski wykuwać nową broń, kto inny kraj wyswobodził. Przeciw zmurszałej legalności od góry, narzuconej siłą zbrojną a umocnionej „cudem" wyborczym — wyłaniać się poczęła legalność od dołu, legalność przedstawicielstwa aktywu narodowego. W oparciu o demokratyczny ruch oporu powstała konspiracyjna Krajowa Rada Narodowa — w oparciu o przymierze z orężem radzieckim Związek Patriotów Polskich. Gdy w wyniku działań wojennych kadry odrodzonego wojska polskiego przekroczyły ku zachodowi Bug — Krajowa Rada Narodowa wyłoniła Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Gdy front wojenny ustalił się na Wiśle i Wisłoku — PKWN objął władzę nad oswobodzoną cząstką Polski. Gdy rozmowy z osiadłym w Londynie odłamem przedwrześnia nie doprowadziły do rezultatu — PKWN przekształcił się w Rząd Tymczasowy jako podwalinę przyszłego Rządu Jedności Narodowej. Akcja rozwijała się logicznie i legalnie.

„Legalnie?" — krzyczy „Londyn" — „prawo i legalność, to my! My tylko reprezentujemy praworządność, jakkolwiek by ktoś fakty chciał naciągać do swego punku widzenia. Jedyna droga legalna Polski — to ta, od Mościckiego do Raczkiewicza, od Sławoja do Arciszewskiego. Co poza nami, to bunt i uzurpacja!".

Już dawno ktoś powiedział: zdobytą na moście Poniatowskiego, utraciła sanacja swą legalność na moście zaleszczyckim. Albo w paraleli historycznej: gdy Jakub II z rodu Stuartów umykał z Anglii, która powołała na tron Williama III — rzucił do Tamizy wielką pieczęć Zjednoczonego Królestwa. Stuartowie, którzy powrócili do władzy w Anglii drogą wojskowego zamachu stanu, byli maniakami legalności. Jakub rozumował tak: teraz moich przeciwników zapędziłem w kozi róg, choć orężnie wygrali; bo tylko moja pieczęć była legalna i bez niej nie ruszą z miejsca, każdy ich akt będzie nieważny; wygnali prawego pomazańca, mają teraz za swoje. Dobry Jakub nie pojął istoty rzeczy: że źródła legalności władzy tkwią w narodzie nie w pieczątce; i że John Churchill poleci po prostu wykonać nową pieczęć państwową, w ten sposób rozwiązując zagadnienie, które zagadnieniem mogło być tylko w oczach Jakubów.

Zawsze ponad „legalnością pieczęci" staje legalność, wynikająca z woli narodu i sensu przemian dziejowych. Jakub II przeżył na emigracji gorzkie rozczarowania, polscy emigranci londyńscy typu sanacyjnego do końca życia układać będą posłania protestujące i orędzia, że tylko oni byli, są i będą prawowici. Ale rytownik w Warszawie sporządził już nową pieczęć. Nazywa się ona historią.

2

W Polsce, w porównaniu z okresem międzywojennym zaszły głębokie i w wielu punktach zasadnicze zmiany — jest jasne dla każdego. Rewolucyjna istota tych zmian...

Usłyszawszy to słowo „rewolucja" krzywi się większość Polaków. Jesteśmy przeciwieństwem Francuzów, Rosjan czy Hiszpanów, którzy chlubią się rewolucyjnością swej historii i okropnie nie lubimy słowa i pojęcia „rewolucja". A to źle, to nie mądrze. Bo rewolucja to po prostu przyspieszenie tempa postępu, bez którego chadzalibyśmy sobie do dzisiejszego dnia jako hordy odziane w skóry.

Więc nie lękajmy się słowa „rewolucja". Gdy przywódcy Stronnictwa Patriotycznego w Sejmie Czteroletnim ułożyli projekt nowej konstytucji, zrozumieli od razu, że bez rewolucyjnego zamachu nie zdołają jej wprowadzić w życie. Zdobyli się więc na decyzję i — ocalili istnienie narodu. Jak karykaturalny Rejtan miotał się Suchorzewski i grodził drogę „jakobinom i zbrodniczej rewolucji". Sformalizowana historia przyznaje mu formalną słuszność. I cóż z tego?

Pojęcie rewolucji jest zresztą tak obszerne, iż czasem nic nie określa. Istotne są dopiero forma i treść społeczna rewolucji. Nawet reakcja może mieć swą rewolucję (co prawda, określaną lepiej słowem kontrrewolucja lub restauracja), nawet Hitler prawił o „rewolucji narodowo-socjalistycznej". Wartość i sens rewolucji mierzyć wypada jej stosunkiem do współczesnych prądów społecznych. Nawiązując do fali politycznej i społecznej demokracji — PKWN szedł po linii nie tylko postępu świata, który pohamować można było co najwyżej na kilka lat, padając przy tym samemu pod herostratycznymi gruzami, ale reprezentował owego, tylekroć wywoływanego nadaremno, ale niewątpliwie nie fikcyjnego ducha dziejów Polski, który zgrałby nas już dawno z Europą, gdyby kiedykolwiek osiągnął faktyczne zwycięstwo. Nie ja pierwszy, mówiąc o PKWN nawiązuję myślą do tradycyj politycznych aż do Ostroroga i niektórych różnowierców, a w każdym razie do Kuźnicy, demokracji Mickiewiczowskiej i nurtów socjalistycznych na progu bieżącego stulecia.

To treść. A forma?

Jeszcze na łamach lubelskiego „Odrodzenia" rzucił Jerzy Borejsza dla tego co się obecnie w Polsce dzieje określenie, które urosło w slogan: rewolucja łagodna. Dziś mniej chętnie powtarza się tę frapująco ścisłą charakterystykę. Jest to poniekąd zrozumiałe w kraju, tak często lękającym się śmielszych myśli, słów, czynów. Ale przeszło już rok trwające rządy ludzi Manifestu Lipcowego udowodniły chyba najbardziej lękliwym, że głęboko sięgające przemiany i zwrot dziejowy nie muszą następować przy udziale tzw. „krwawego terroru" i innych akcesoriów „szału rewolucji" z popularnych wyobrażeń. Ta legalna i kodyfikowana obecnie „rewolucja", której widownią stała się nareszcie Polska — jest zarazem, w pełnym tego słowa znaczeniu, **rewolucją łagodną**, bez proskrypcji i gilotyn, przewracającą zastarzałe wyobrażenia mieszczańskie i zmuszającą do rewizji najmocniej, zda się, ugruntowanych pojęć. Ludzie, rozmarzeni ideą zgody powszechnej, widzą w tym słusznie wielki wewnętrzny sukces Polski po ogromie zewnętrznych klęsk. Skłonny jestem przyznać, że łagodność formy obecnych przemian i powszechność ich przyjęcia zawdzięczamy owemu fortunnemu połączeniu rewolucyjności z legalnością.

3

Dla wydarzeń historycznych probierzem wartościowania jest czas. Bardzo rozmaitej długości. Konstytucję 3-go maja, by pozostać przy użytym przykładzie, już po roku święcono w skali nie tylko państwowego lecz i narodowego święta. Wściekłość reakcji i faktyczne a rychłe jej zwycięstwo nad siłami postępu nie zdołało zaciemnić prawdy, że jedyną dla Polski drogą do odrodzenia może być ta, którą jej wytyczył zamach z 3-go maja 1791 r. Manifest Lipcowy PKWN powitał wybuch równej wściekłości. Jak nowy Suchorzewski rzuca się Raczkiewicz grodzić drogę „bolszewikom i zbrodniczej rewolucji". Społecznie rozumując, trudno mu się dziwić. Bo przecież Manifest Lipcowy zapowiadał dopełnienie tych reform, które zarysował akt konstytucji majowej. Wiedzie w gruncie rzeczy prosta droga od 3 maja do 22 lipca.

Więc jest najzupełnie naturalne — i nie mogło być inaczej — że już po 12 miesiącach obchód rocznicy manifestu lipcowego stał się świętem państwowym i narodowym. Konstytucja 3 maja — połowiczna, zbyt kompromisowa, miejscami niejasna, nieco blade odbicie wielkich przemian na Zachodzie — stała się przecież jednym z głównych czynników, krzepiących naród w okresie niewoli. Manifest Lipcowy — umiarkowany i powściągliwy społecznie — stał się przecież „manifestem praw ludu polskiego".

Pomiędzy nim a manifestem majowym stoi jednak olbrzymia różnica: wyniku. Maj utonął rychło w chaosie rozbiorów; drodze Manifestu Lipcowego od początku towarzyszy powodzenie. Maj zapowiedział wiele reform i nic z nich nie wyszło. Lipiec obiecane reformy od pierwszej chwili wykonywał i wykona, w ciągu dwunastu miesięcy położył podwaliny pod nową Polskę, których nikt i nic nie zdoła „odrobić" lub wyburzyć. Jakkolwiek potoczy się w dalszym ciągu historia Polski — nie jest do pomyślenia inny jej kierunek niż ten, który jej wyznaczył Manifest Lipcowy.

Próby rewolucji majowej przekreśliła Targowica. Jeśli słowa tego mielibyśmy użyć nie w ściśle historycznym oznaczeniu, lecz jako określenie pewnego typu zdrady interesów narodowych — musimy stwierdzić, że nie brak w polskiej historii Targowic i że również czasy teraźniejsze nie oszczędziły nam Targowicy. Przecież prawicowo-rządowy odłam polskiego Londynu to typowa polska Targowica. Sensem Targowicy 1792 był egoizm klasowy oligarchii magnackiej i oparcie się o te siły, które państwu niosły zgubę. Sensem Londynu 1944 był egoizm klasy właścicieli ziemskich i próba oparcia Polski o faszyzm, czyli o tę siłę, która niosła nam zgubę. W obu wypadkach ocalenie przyszło ze strony czynników demokratycznych: w okresie rozbiorów ocalenie tylko moralne, w okresie chaosu wojny światowej również faktyczne. W obu wypadkach siłą, którą przede wszystkim należało przewalczyć, była reakcja polska, uosobiona w szlacheckim obszarniku. Bardziej i dłużej niż gdziekolwiek indziej w Europie uchowały się w Polsce przeżytki feudalizmu jako czynnika o pewnej sile faktycznej i żywotności. W okresie zmagań socjalizmu z kapitalizmem wielkim i małym — łatwo zrozumieć, jakie miał dla nas skutki ów podstawowy anachronizm społeczny Polski. Dopiero przezwyciężenie go wprowadza Polskę do zespołu państw nowoczesnych i stawia przed nią te zagadnienia struktury społecznej i politycznej, które cechują Europę współczesną a nie XVI-wieczną. Jest to zasługa Manifestu Lipcowego, którą z perspektywy historycznej wypadnie uznać za najważniejszą.

Jeśli zaś w dawnej Polsce anarchia brała górę nad rządnością, rokosze nad dziedzicznością tronu, jezuityzm nad Braćmi Polskimi, ciemnota nad oświeceniem, samowola nad wolnością i Targowica nad majem — a współczesna Targowica została zahamowana w Londynie i wyemigruje jeszcze dalej, na zachodnią hemisferę czy do australijskich antypodów — to jest to nie tyle nasz los szczęśliwy czy zasługa czyichś osobistych talentów, lecz niemal wyłącznie wynik owego pełnego związania losów Polski z postępem i demokracją, owego odwołania się do siły ludu, przed którym cofnął się ostatecznie i Kościuszko i oba nasze powstania z ubiegłego wieku.

Jan Alfred Szczepański

W poprzednim (35) numerze „Odrodzenia" z dnia 29 lipca: **Paweł Hulka-Laskowski:** Bracia nasi za Olzą i bracia nasi Czesi. — **Maria Kann:** Niebo nieznane. — **Jan Alfred Szczepański:** Rok 1945. Wielka szansa. — **Stefan Otwinowski:** Rachunek wdzięczności. — **Czesław Miłosz:** W Warszawie. — **Hanna Mortkowicz-Olczakowa:** Wspomnienie o Januszu Korczaku. — **Władysław Szlengel:** Kartka z dziennika akcji. — **Paweł Kos:** Mosty w stolicy. — **Mieczysław Jastrun:** Nijako. — **Artur Sandauer:** Odpowiedź na monolog. — **Paweł Ettinger:** Korespondencja z Moskwy. — **Czesław Miłosz:** Jeszcze o małżeństwie. — W oczach pisarzy. Ankieta „Odrodzenia". Odpowiedź **Floriana Sobieniowskiego.** — Komunikaty o konkursach. — **Zdzisław Hierowski:** Teatry na Śląsku. — **(kb):** Przegląd prasy. — Kronika kulturalna ZSSR. — **Stefania Łobaczewska:** Życie muzyczne Krakowa. — Kalendarz kulturalny. — 8 stron.

SŁOWO O GRUNWALDZIE

Długosz . Staroświecka pieśń
Jan z Wiślicy . Niemcewicz
Słowacki . Sienkiewicz

Wybrał i objaśnił ST. ŁĘMPICKI

Do nabycia we wszystkich księgarniach
Str. 104 Cena zł 30.—

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK"

W OCZACH PISARZY*)

Ankieta „Odrodzenia"

Redakcja „Odrodzenia" zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:

Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana (i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.

Oczekujemy od Pana(i) wypowiedzi, w której uwzględniłby Pan (i) w sposób, jaki Pan (i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej widzianej oczami już wyzwolonymi; wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.

Prosimy również o uwzględnienie szczegółowe własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan (i) uzna za słuszny.

Rozmyślania nad klęską wrześniową ująłem w studium publicystyczne pt. „Przyczyny takiej klęski".

Początkowej fazie rzeczywistości wojennej poświęciłem książkę pt. „Pierwsze trzy miesiące". Opowiadam w niej to, co widziałem i przeżyłem we wrześniu, październiku i listopadzie 1939. Pięć pierwszych rozdziałów przechodzi kolejno pięć pierwszych dni wrześniowych, ostatnie rozdziały zawierają relację o moim listopadowym wyjeździe z Krakowa nad San i o moim nielegalnym przedostaniu się przez granicę sowiecką.

Wrażenia z wojennej działalności Ambasady R. P. w Moskwie i Kujbyszewie umieściłem w notatkach pt. „Dla pamięci".

W związku z tymi wrażeniami naszkicowałem też dramat rozgrywający się wśród żołnierzy armii Andersa tuż przed opuszczeniem ziemi sowieckiej.

Z mojego przejścia przez Związek Polskich Patriotów w Moskwie wyniosłem kilka artykułów politycznych poświęconych najbardziej aktualnym wówczas tematom wojennym oraz zapiski z sybirskiego pobytu w Jakucku. Przywiązuję też wagę do listu, jaki wysłałem do prezydium Związku Polskich Patriotów przed wyjazdem na Sybir.

W latach 1942 do 1944 napisałem serię wierszyków o wojnie i dla wojny.

Dotąd — odpowiedź moja na ankietę jest „szczegółowym uwzględnieniem własnej twórczości".

A „stosunek do rzeczywistości wojennej widzianej oczyma już wyzwolonymi"? Oczy moje w ciągu całej wojny były wolne, i wszystko, co w czasie jej huków i dymów pisałem, pozostaje dla mnie prawdziwe nadal. Uprzedzać streszczeniami, to co ma się ukazać w przyszłych publikacjach, znaczyłoby siedmiu gałązkom kazać reprezentować las.

Tadeusz Peiper

UCZĘ SIĘ RZECZYWISTOŚCI WOJENNEJ

Niech to nie będzie paradoksem, ale rzeczywistości wojennej uczę się dopiero teraz. Czasu wojny nie zaznałem bowiem żadnego nieszczęścia, nie spędziłem ani jednego dnia w więzieniu, poza jednym wyjątkiem nie spalił mi się żaden rękopis, z najbliższej rodziny nie pochowałem nikogo. Moje obcowanie z rzeczywistością wojenną było więc trochę na odległość — przez wmyślanie się w nią, przez gromadzenie obserwacji, tym łatwiejsze, że spędziłem całą wojnę w miejscu bardzo sposobnym do oglądania podszewki hitleryzmu pospolitej i codziennej — Krzeszowice prywatna rezydencja Franka.

Jako krytyk i historyk literatury byłem podwójnie bezrobotny. Technicznie jako historyk literatury, zasadniczo jako krytyk. Dla człowieka nie mieszkającego w Krakowie, dostęp do bibliotek, mimo wszelkich przyjaznych ułatwień, był tak trudny, że o większych pracach nie sposób było marzyć. Napisałem przeto, nie licząc drobiazgów, kilka prac na podstawie dostępnych mi materiałów. Odtworzyłem pierwszej zimy wojennej spaloną rzecz o „Zagadnieniu pokoleń literackich na tle polskiego klasycyzmu i romantyzmu". Problem pokolenia, jako miary czasu historycznego i ewolucji artystycznej, dawno mię interesował i przeglądając dzisiaj po latach tę książkę, zgadzam się z wszystkimi jej tezami. Napisałem dużą książkę poświęconą wyłącznie artyzmowi Norwida pt. „Norwid czyli poeta kultury". Chciałbym ukazać w niej jedyną właściwą perspektywę, wedle której należy oceniać sztukę Norwida i której skromną i pobieżną próbę daje artykuł w „Odrodzeniu". Wraz ze złożoną już w roku 1939 a dotąd nie wydaną książką o „Modernizmie literackim" jest to wszystko co posiadam na koncie historyka literatury.

Bezrobocie krytyka było bardziej zasadnicze, równe bezrobociu np. satyryka. Satyrycy mieli mnóstwo tematów, ale gdzie je ogłosić? A krytyk nie miał nawet tematów. Można było naturalnie obrócić się do niedawnej przeszłości i ujmować ją bardziej syntetycznie, ale rychło się przekonałem, że z ruchomego piasku widziana nawet najbliższa przeszłość też jest ruchoma. Poza essayem o poezji Czechowicza nic nie wyszło. Współpraca w tajnych pismach literackich również nie zaspokajała. W ten sposób utworzył się zasób niezużytkowanej energii. Lektury mało go zużywały, zresztą niewielu pisarzy dało się czytać bez oporów. Dobra liryka ciągle, Sygryda Undset i Szołochow ciągle, Orzeszkowa, Prus jesienią 1939 roku, Flaubert, Tołstoj jesienią 1944 roku. Dopiero teraz widzę, kiedy dostrzegam podobieństwo tych dwóch najcięższych psychicznie jesieni, że dali się wówczas czytać tylko wielcy realiści. „Wojna i pokój" i „Faraon", gdybym jedynie tytuły miał wskazać.

Ta niezużyta energia szukała innych ujść, których przed wojną zupełnie w sobie nie przeczuwałem. Napisałem kilka opowiadań; jednym przyjaciołom bardzo się podobały, innym bardzo nie podobały. Przed czterema laty, ni stąd ni zowąd wybuchnęła cała seria pastiche'u literackiego, od Kochanowskiego do Staffa i Łobodowskiego.

Najważniejsza jednak była sprawa essayu. Za jego pośrednictwem usiłowałem sobie odpowiedzieć na podstawowe doświadczenia okupacji. Pisałem o głupocie, pesymizmie, propagandzie, imperializmie, jedne essaye wykończyłem, drugie nie. Dzisiaj widzę jasno dwie sprawy: obawiam się, że rozwiązania, które wówczas wydawały mi się nieodparte, były jednak uwarunkowane upadkami i trwogą okupacji. Dzisiaj są mi świadectwem, że potworniej byliśmy odcięci od rzeczywistości obiektywnej, aniżeli przeczuwałem. Całą mocą pragnąc doświadczeniu hitlerowskiemu powiedzieć nie, ty nie jesteś prawdą, jednak tym tylko doświadczeniem byłem omotany jak pajęczyną.

Stąd sprawa dalsza: opanowałem, albo przynajmniej mi się wydaje, że opanowałem formę essayu, ale przeczuwam, że trzeba ją będzie stosować na tym samym wprawdzie materiale, jednak dopiero teraz przezierającym w kształcie właściwym. Pierwszą taką próbę przyniesie miesięcznik „Twórczość". Z dawniejszych tematów pozostaje ciągle marzeniem sprawa irracjonalistycznego imperializmu, tych wybuchów, które notuje historia w postaciach Cezarów, Cromwellów, Napoleonów. Marzeniem moim jest **hitleriada napisana na tle napoleoniady** — analogie zjawisk aż parzą swoją aktualnością.

Dlatego rzeczywistości wojennej dopiero się uczę. Słów tych nie bierzcie za przesadną skromność, podobnie, jak nie bierzcie za patos słów dalszych: nie wiem, czy życia całego starczy, by naukę tę doprowadzić do końca.

Kazimierz Wyka

*)Por. odpowiedzi Zb. Bieńkowskiego, H. Boguszewskiej, T. Brezy, J. Brzostowskiej, K. Czachowskiego, T. Czyżewskiego, H. M. Dąbrowolskiej, St. Flukowskiego, M. Jastruna, J. Kornackiego, T. Kudlińskiego, J. Kurka, J. Kydryńskiego, H. Malewskiej, H. Mortkowicz-Olczakowej, J. G. H. Pawlikowskiego, J. Przybosia, F. Sobieniowskiego, H. Wielowieyskiej, E. Szelburg-Zarembiny, J. Zawieyskiego i J. Zagórskiego w nr nr 19—28 oraz w nr nr 30—35 „Odrodzenia".

PO PROSTU

Rozmowa

On: Stajesz się w końcu nudny. Historia i historia, obiektywne prawa społeczne i surowe rygory postępu. Czy z tego, sądzisz, zrobi się kiedyś literaturę? Bardzo lubię Balzaka, ale...

Ja: Ale lubisz także Conrada, cenisz Gide'a, podziwiasz Dostojewskiego i zaczytujesz się Proustem...

On: Wiesz dobrze, że w Prouście jest duży kawał Balzaka. Proust jest niemniej prawdziwy od twoich wielkich realistów, pamiętasz jak Charlus obserwuje bąka, który zapładnia kwiat...

Ja: Co z tego? Zaraz powiesz, że Proust, czy tam kto inny pogłębił naszą wiedzę o tym co wieczne i niezmienne w naturze ludzkiej, że odkrył jakieś fałdy czy zakamarki, o których nikt dotąd nie napisał. Czy sądzisz naprawdę, że literatura jest wielkim biurem inwentaryzacji...

On: Wolę bibliotekarza, który każdą książkę stawia na właściwe miejsce i troskliwie okurza ściereczką, od ciebie, co pół biblioteki chcesz wyrzucić na śmietnik i zamiast książek umieścić gablotki z fotografiami Polpressu z fabryki mydła w Gdańsku lub krematorium w Oświęcimiu.

Ja: Po co upraszczasz? Wiesz dobrze, że chcę literatury, która mówi prawdę, ale wszystko mi jedno, czy wykryje ją w katakumbach Rzymu czy też w kanałach warszawskich, którymi powstańcy...

On: Katakumby! Kanały! Zawsze melodramat. Potrzebne ci są historyczne dekoracje jak reżyserowi prowincjonalnej sceny. Dla mnie pani Bovary, kiedy w lustrze podziwia się w nowej sukni, marząc o życiu wielkomiejskim, bardziej jest prawdziwa od wszystkich twoich...

Ja: Wyobraź sobie panią Bovary podczas okupacji. Przeglądając najpiękniejsze suknie, zadrży, kiedy usłyszy na schodach szczęk podkutych butów. Lata wojny dowiodły, jak bardzo jesteśmy wszyscy zależni od wyśmiewanej przez ciebie historii. Pani Bovary w naszych czasach szmuglowałaby masło i słoninę do ghetta, wykorzystując wszelkie łajdackie sposoby zarobku, jakie dozwalał okupant, albo też należałaby do konspiracji i wiedziała dokładnie za co nastawia codziennie głowę. Rok temu nie było neutralnych...

On: Teraz ty upraszczasz. Zawsze czarne albo białe. Bojowiec, który zasypia z rewolwerem, czy też jak wy tam mówiliście z maszyną, a rano studiuje pilnie podręcznik ekonomii, a jak nie, to zaraz łapownik, szantażysta i chuligan. Wiesz dobrze, że szmuglerzy w jedną stronę wozili masło, a w drugą gazetki. Pani Bovary, kto wie, równie dobrze mogła grać na giełdzie, handlować z Niemcami i jednocześnie być łączniczką, kurierką i niestrudzoną...

Ja: Z twoim wiecznym skomplikowaniem natury ludzkiej odnajdziesz niedługo złoża bohaterstwa i patriotyzmu w giełdziarzach, którzy na placu Napoleona wołali: złoto, złoto, mareczki... W każdej kanalii odkryjesz nieprzejednanego konspiratora...

On: Cenisz fakty, mój ty empiryku, który wolisz teoretyzować, opowiem ci fakt. Pamiętasz, ukrywałem się. Sypiałem u przyjaciół, u kolegów. Nigdzie nie było bezpiecznie. Chciałem raz jedną noc przespać spokojnie, wiedząc, że na pewno nie przyjdą. Miałem jedną znajomą, co tu dużo mówić, była bardzo lekkich obyczajów. Miała tam jakiegoś kochanka Niemca czy policjanta, diabli zresztą wiedzą. Myślę sobie, pójdę do niej na noc. Ta przynajmniej na pewno nie konspiruje, będę spał spokojnie. Wypiliśmy parę wódek, kładę się na polowym łóżku. Łóżko stare, wali się od razu. W rogu pokoju leżały duże paczki. Podłożyłem je pod łóżko zamiast połamanych nóżek, zapalam papierosa i spokojnie sobie leżę. Nagle słyszę głos mojej znajomej: — „Czy wiesz, na czym śpisz." — „Nie wiem" odpowiadam. — „To czcionki drukarni." Skoczyłem do góry o pół metra. Rzeczywistość okupacyjna była bardziej skomplikowana, niż sobie to wyobrażają niektórzy admiratorzy Diderota i Woltera...

Ja: Rzeczywistość okupacyjna, zgoda! Ale nie świat uczuć, pragnień, myśli i wszystkie twoje głębie psychiki. Wiesz dobrze jak pod naporem zdarzeń wyciekała z nas cała woda, wszystkie „być może" i stawaliśmy się tacy, jacy jesteśmy naprawdę. W myślach i marzeniach można być świętym, łajdakiem i bohaterem jednocześnie. Czyn jest jednoznaczny. W lesie, w partyzantce jest się tchórzem albo bohaterem, nie ma, choćbyś stawał na głowie, innego wyjścia...

On: Chcesz czyn oddzielać od świadomości, zostaną ci automaty, które strzelają...

Ja: A ty chcesz odciąć czyn od jego skutków społecznych. Dam ci przykład do czego to prowadzi. Jeden z naszych kolegów, młody utalentowany powieściopisarz, ogłosił w czasie okupacji opowiadanie „Przed sądem"...

On: Pamiętam. Było czytane na konspiracyjnym mówionym dzienniku, który kursował po Warszawie. Była to zdaje się historia dwóch przyjaciół, z których jeden ukrył czy zakopał broń...

Ja: Tak. Niemcy broń znaleźli, złapali go i bili, aby wydał wspólników. Trzymał się i milczał. Nie miał zresztą wspólników, sam broń znalazł i ukrył.

On: Ale przecież potem wydaje swojego przyjaciela...

Ja: Oto właśnie mi chodzi. Kiedy dostał wyrok śmierci, nie chciał samemu umierać. Rozumiesz, wydał niewinnego przyjaciela, nie z lęku, ale z miłości do niego. Nie chciał być sam w tej ostatniej chwili. I przyjaciel mu to wybacza.

On: Historia mało prawdopodobna, ale przecież możliwa...

Ja: Nie w tym rzecz. Autor usprawiedliwia swego bohatera. Czy nie oburza potworność moralna tego czynu? Odrzuć całą metafizykę, weź na zdrowy rozum. Jest to zwykłe załamanie się w śledztwie, załamanie, które potępiają wszystkie bez wyjątku ruchy konspiracyjne. Gdyby przypadkiem ocalił się, dostałby od swoich wyrok śmierci. A tutaj autor stroi go w anielskie skrzydła najczystszej przyjaźni. Oto masz, do jakich obłędnych rezultatów doprowadza ocena czynu od strony motywów...

On: Czy myślisz, że nie można sądzić myśli? Czy psychologizm w powieści uniemożliwia ocenę etyczną? Przypomnij sobie tylko powieści Mauriaca i Bernanosa

Ja: Myślałem o tym nieraz. Psychologiczna powieść katolicka rzeczywiście sądzi swoich bohaterów. Ale dzieje się to tylko dzięki temu, że dla katolików myśl w tym samym stopniu co czyn może być grzechem. Powieść laicka staje wobec etycznej oceny myśli, pragnień i marzeń całkowicie bezradna. Mauriac może mieć bohaterów. Ty i twoi przyjaciele nie wierzycie w grzech, a chcecie sądzić myśli. Nie zdajecie sobie sprawy, że tłumacząc usprawiedliwiacie wszystko. To są tylko złudzenia, i to pozwól sobie powiedzieć, przedwojenne, że pozostając psychologistami i umiejąc wszystko wyjaśnić, potraficie odróżnić dobro od zła. Czyż ciebie nie przekonałem?

On: Nie bardzo. Ale już godzina ósma. Chodźmy do teatru.

Jan Kott

Ślaz się odezwał

W „Chłopach" (nr 17) i w „Odrodzeniu" (nr 34) ukazały się artykuliki pp. Stępniaka i Przygórskiego usiłujące polemizować z moim artykułem „Potęga ciemnoty" („Odrodzenie", nr 29). Obaj autorzy bliźniaczo do siebie podobni w sposobie argumentowania i w chwytach nie spotykanych dotąd w prasie demokratycznej, imputują mi, że moja surowa krytyka reakcyjnych grup inteligencji i drobnomieszczaństwa dotyczy całego społeczeństwa. Jest to absurd i świadome kłamstwo.

Dwugłosowy autor interpretuje stronniczo i złośliwie moje słowa i przesuwa ciężar zagadnienia w dziedzinę dla niego najdogodniejszą, gdy ja położyłem główny nacisk na stronę moralną zjawiska, na reakcję uczuciową drobnomieszczaństwa. Nie wymawiałem nikomu braku czynnej obrony i nie zapomniałem o szlachetnych.

W artykule moim pisałem m. in.: „niejednokrotnie ideowi antysemici pomagali swoim wyimaginowanym wrogom. A cóż dopiero mówić o posuniętych aż do samozaparcia wypadkach niesienia pomocy Żydom, o pełnych szlachetnej prostoty aktach wspaniałej ofiarności tej części społeczeństwa, dzięki której ocalała garstka inteligencji pochodzenia żydowskiego. Co mówić o lewicy, o demokracji polskiej, która i w tej i w innych sprawach ratowała godność społeczeństwa — jak zawsze dotychczas w naszej historii. Nie o tych jednak zjawiskach pragnę w tej chwili mówić, lecz o przeciętnych przedstawicielach mieszczaństwa i inteligencji..."

O szerokich masach chłopskich nie pisałem, gdyż nie wieś lecz przede wszystkim miasta były widownią krwawej tragedii.

Gdy będę mówił o ludzkiej postawie wobec człowieka, niezależnie od barwy jego włosów, wtedy przytoczę więcej niż p. Stępniak-Przygórski szlachetnych, przywracających wiarę w ludzkość, czynów, których świadkiem byłem w Warszawie okupowanej. Artykuł mój jednak chciał uderzyć w pozycje reakcji z całą otwartością i bez pospolitej u nas kompromisowości i zacierania granic. W moim poczuciu moralnym mówienie prawdy własnemu społeczeństwu jest najodważniejszym dowodem szacunku dla niego.

Rozumiem dobrze, że słowa te nie są dla Ślazów. Nie z p. Stępniakiem-Przygórskim polemizuję w tej wypowiedzi, było by to poniżej mojej godności, chodzi mi jednak o tych czytelników, którzy albo nie znają mojego artykułu, albo nie mają sami dość wyrobionego sądu. Listy, które otrzymałem, świadczą, że wielu spośród czytelników mego artykułu zrozumiało właściwie jego intencje.

Wierzę, że śmiałe naświetlenie zagadnienia, nawet najbardziej drażliwego, ma w sobie siłę uzdrawiającą. Ale my przyzwyczajeni jesteśmy do optymistycznego frazesu, do stwarzania mitów dla pokrzepienia serc, do zamykania oczu na fakty.

Edward Herriot, wielki patriota francuski, potępiając politykę Hitlera wobec Żydów i stwierdzając, że antysemityzm zagraża elementarnym zasadom ludzkości, nie zawahał się powiedzieć: **„Ta zbrodnicza doktryna znalazła podczas okupacji pewnych zwolenników we Francji. Jest to hańba dla naszego kraju."**

Nie obawiajmy się i my krytyki objawów wstecznictwa i ciemnoty. Na pewno wyjdzie to na dobre naszemu społeczeństwu, doświadczonemu najboleśniej w dziejach przez morderców ciał i trucicieli dusz ludzkich.

Mieczysław Jastrun

W teatrach krakowskich

„Skiz" Gabrieli Zapolskiej, grany w teatrze im. J. Słowackiego, jest przedstawieniem bez zarzutu. Reżyser Emil Chaberski nadał spektaklowi odpowiednie tempo, uwypuklił wartości pióra Zapolskiej, dając lekką, składną i zabawną całość. Wykonawcy w osobach Ćwiklińskiej, Baronówny, Biegańskiego i Wesołowskiego tworzyli zgrany kwartet, chociaż nie wszyscy czuli się dobrze w swych rolach. Jedynie Wesołowski był niewątpliwie trafnie obsadzony, co przyczyniło się do dużej swobody w interpretacji jego roli.

Teatr im. Bogusławskiego, obdarzony nie bardzo zrozumiałym epitetem „ruchomy" (prawdopodobnie: objazdowy?), wystawił na scenie krakowskiej „Scali" sztukę M. Morozowicz-Szczepkowskiej p. t. „Sprawa Moniki". Omawianie tej sprawy jest sprawą dość przykrą, ponieważ m. in. nie widać powodu wystawienia tej właśnie sztuki, z którą w dodatku Teatr Bogusławskiego ma zamiar wyruszyć na objazd ziem zachodnich. O ile w r. 1932 zagadnienia, poruszone przez Szczepkowską, mogły wzbudzić takie zainteresowanie, że sztuka jej stała się jednym z sukcesów „Reduty", o tyle dzisiaj, gdy nikogo nie dziwi widok kobiety w mundurze i z automatem, nikogo nie wzruszą również feministyczne problemiki i deklamacje w stylu „Sprawy Moniki". Aktorsko przedstawienie bardzo nierówne. Monika B. Zielińskiej najlepsza w akcie drugim, Antosia H. Różańskiej w pierwszym, Anna H. Zahorskiej we wszystkich trzech aktach taka sama t. zn. nieprzekonywająca.

Funkcję krakowskiego Teatru Rapsodycznego słusznie określił Kazimierz Wyka, jako „obsługę wielkiego słowa". Mieczysław Kotlarczyk rozwija i uzasadnia to określenie w szkicu p. t. „Teatr i szkoła", zamieszczonym w programie ostatniej premiery. Kotlarczyk, sam nauczyciel z zawodu, pragnie w odbudowującej się szkole czuwać nad kultem słowa poetyckiego, kultem mowy polskiej i zwraca uwagę wychowawców na ten odcinek ich pracy.

Jeżeli zestawimy osiągnięcia dotychczasowych premier Teatru Rapsodycznego („Grażyna", „Konrad Wallenrod" i „Zawisza Czarny" — fragmenty zebrane w jednej godzinie recytacji, oraz w następnej: fragmenty „Pana Tadeusza") z ostatnią, na której usłyszeliśmy fragmenty „Beniowskiego", stwierdzić należy, że audycja ostatnia wypadła najsłabiej. Jest to w równej mierze winą niezbyt szczęśliwego układu tekstu, jak i nieszczególnego poziomu recytacji.

Juliusz Kydryński

Kronika ilustrowana

LUDWIK H. MORSTIN
którego „Penelopę" wystawił w Krakowie teatr im. J. Słowackiego

JERZY ZAWIEYSKI
autor sztuki „Mąż doskonały"

JAN MAKLAKIEWICZ
autor poematu symfonicznego „Grunwald"

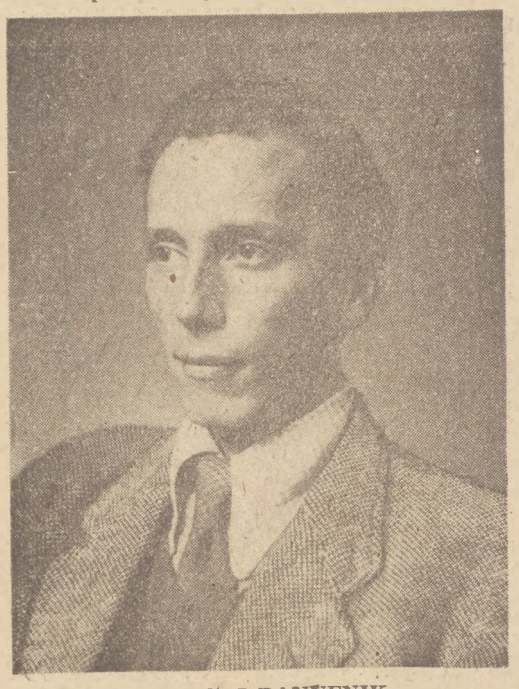

ANDRZEJ PANUFNIK
kompozytor, twórca „Uwertury tragicznej"

PRZEGLĄD PRASY

Czytelnik, który zechciał gruntownie zapoznać się z treścią 18-go numeru **„Tygodnika Powszechnego"**, musiał opuścić ręce z rozpaczą usiłując wyśledzić bieg myśli w artykule **Jana Dobraczyńskiego** pt. „Pełny realizm". Nie jaskrawa niesłuszność twierdzeń zawartych w powyższej publikacji jest tego przyczyną, lecz nieumiejętność jasnego ich wyrażenia i bezradność w logicznym układzie założeń i wniosków oraz przede wszystkim: mglista metaforyka sformułowań, przesłaniająca jednoznaczność myśli. Na dowód poniższy fragment:

„U nas nie było mitów, a te, które chciała wydać tzw. sanacja nie stanowiły żadnej logicznej całości. Były to zresztą mity negatywne: nie chcemy, nie zrobimy itp., już samym swym brzmieniem urągające możliwości związku z życiem. Nie było więc mitów, ale też i rzeczywistość polska dziwnie „płasko" poczęła się zamykać. Sztuka pojawia się tam, gdzie realizm dnia codziennego wychodzi ponad prostą czynność życiową. Głód w sensie spotęgowanego łaknienia nie będzie nigdy tematem powieści. Ale głód w sensie reakcji człowieka — całego człowieka — na brak pożywienia, może być materią epopei. Tkwiąc w świecie bridge'a, dancingu i kolacji, jest równie daleko od mitu, co i od realizmu prawdziwego. Mówiłem, że sztukę stanowi przełamywanie życia w oczach artysty. Świat tamten nie sięgał, niestety, jego oczu. Dochodził do kolan, czasami nieco wyżej."

Tych też nie sposób zaczepić argumentem, tak wiele i mało zarazem mieszczą w sobie treści. Myśl p. Dobraczyńskiego nie posiada ostrego konturu i zjawiska mgliste autor opatruje mglistą nazwą: jedyny więc zarzut, jaki można by wysunąć przeciw przytoczonym twierdzeniom, byłby natury czysto gramatycznej i dotyczy zdania: „Tkwiąc w świecie bridge'a, dancingu i kolacji, jest równie daleko od mitu..."

„Raz jeszcze powtarzam:" — pisze Jan Dobraczyński — **„Sztuka jest przełamywaniem się realnego życia w oczach artysty. Idąc po tej linii musimy, chcąc dobra sztuki chcieć realnego życia. Ale jeżeli w imię tego hasła uciekać pragniemy od nieżyciowych mitów, to w równej mierze uciekać musimy od realizowania typu dancingowo-burdelowego."**

Słowa te przetłumaczone na język prosty znaczą zapewne tyle, że autor widzi przyszłość sztuki w oparciu jej o życie tworzące wartości społeczne — co należy uznać i powitać z szacunkiem.

„Realizm w życiu opiera się na przyjęciu pełnego człowieka z całym światem jego potrzeb materialnych i psychicznych. Jeżeli się go wprzęga w jarzmo nieżyciowej doktryny, coś musi pęknąć: albo jarzmo, albo człowiek. Częściej zwykle pęka jarzmo, doktryna idzie wtedy na kompromisy."

Otóż, pomijając jaką doktrynę ma na myśli autor, warto zauważyć, że niektóre z tych doktryn czy ideologii, nieżyciowych w mniemaniu p. Dobraczyńskiego, właśnie tworzą wartości społeczne i nie tylko nie stanowią jarzma dla człowieka, ale przyczyniają się do szerszego uświadomienia jego materialnych i psychicznych potrzeb. Może więc tędy droga?

Uważny czytelnik pism często doświadcza uczuć budujących i chwiejnych, miewa momenty aprobaty i osłupienia, miotają nim chęci sprzeczne, a nieraz buntownicze. Powody dają zazwyczaj autorzy — osobistości kapryśne i niekonsekwentne, które nie zawsze chcą czuwać nad spokojem duchowym i intelektualnym ludzi czytających ich słowa. W skromny świat publicystyki polskiej ileż humoru wniosły słowa **Zbigniewa Rossmana**, który w artykule pt. „Konieczność przymierza" (nr 3—4 **„Życia Literackiego"**) pisze:

„Tragedią naszej literatury obecnej, większą niż brak papieru, książek, bibliotek i drukarń jest fakt, że większość naszych literatów podzielić można na dwie grupy. Jedni to autorzy o sławnych nazwiskach, ludzie, którzy nie potrafią wczuć się w ducha czasów dzisiejszych, a których utwory umieszcza się w pismach ze względu na otaczającą ich sławę. Druga grupa to ludzie wysuwający pewne postulaty, piszący liczne, bardzo liczne artykuły na temat, jaka winna być literatura, lecz poza tą publicystyką nie tworzący nic nowego. Tych jest najwięcej, bardzo ruchliwych, krytykujących wszystko i wszystkich i dławiących swoją krytyką każdą próbę odświeżenia atmosfery literackiej. Zupełna bezpłodność tych obu grup powoduje zarysowujący się coraz wyraźniej kryzys naszej literatury."

Próba Zbigniewa Rossmana nie odświeży atmosfery literackiej, zapewniamy go o tym w imieniu obydwóch nieszczęsnych, bezpłodnych grup. Miły żartowniś z „Życia Literackiego", narzekający na nadmiar publicystyki literackiej w momencie, gdy jej brak daje się we znaki najbardziej dotkliwie, rozwija swe wywody w sposób następujący:

„Kryzys ten zwalczyć można jedynie przez wprowadzenie do literatury odżywczego elementu młodego, niezdegenerowanego pokolenia. Oczywiście, że młodzi pisarze, poeci nie będą mieli tej techniki pisarskiej, tej znajomości wszelkiego rodzaju subtelności, tej lekkości pióra, łatwości sformułowań i metafor. Niejednokrotnie „Out" będzie miał sposobność wytknąć im błędy logiczne i językowe czy nawet ortograficzne, czasem „Szpilki" ich zdrowo ukłują, nieraz „Odrodzenie" powie: „Fi donc — cóż to za poezja..." To nie jest najważniejsze. Stylu, techniki pisarskiej można się nauczyć. Idei, polotu, serca w żadnej szkole literackiej się nie zdobędzie, ducha nie uda się wykrzesać z bezideowej próżni duchowej."

Próba Zbigniewa Rossmana nie wprowadzi do literatury elementu młodego, odżywczego i niezdegenerowanego. Wprowadza natomiast element naiwny, nieudolny i godny współczucia. Zapewniamy go o tym w imieniu tych wszystkich, którzy pragną dołożyć wszelkich wysiłków, aby młodzi utalentowani pisarze zdołali posiąść technikę stylistyczną i łatwość sformułowań, i w imieniu tych wszystkich, którzy chętnie roztoczą opiekę artystyczną nad Zbigniewem Rossmanem i jego towarzyszem, który w tymże numerze „Życia Literackiego" umieścił w swym wierszu o morzu następującą strofkę:

„Jak umiem hołd ci złożę,
— najszczerzej i najprościej,
o morze, morze, morze
gasnącej mej młodości!"

Fi donc — cóż to za poezja. **(kb)**

Kronika kulturalna ZSRR

HISTORIA I ARCHEOLOGIA

Historyczna nauka radziecka stoi pod znakiem planowania pracy na najbliższe lata. W łonie Akademii Nauk ZSRR rozstrząsany jest perspektywiczny plan, wedle którego miałyby być organizowane historyczne badania. Zasadą planu jest hierarchia potrzeb odczuwanych w danej chwili przez dziejopisarstwo radzieckie. W dyskusji na ten temat uczestniczyli dotąd profesorowie W. Wołgin, S. Bachruszin, I. Zwawicz, A. Sidorow i S. Tołstow.

W zakresie historii Związku SRR wiele zagadnień jest jeszcze niewyjaśnionych i wymaga monograficznego pogłębienia, w szczególności historia narodów związkowych i dzieje miast, oparte na żywym, konkretnym materiale pamiątek sztuki, toponimii i folkloru. „Winniśmy podrastające pokolenie nauczyć kochać nasze przepiękne miasta, poznać i umiłować ich przeszłość, szczycić się nimi, by jeszcze głębiej pojąć historyczne znaczenie bohaterskiej walki, którą nasz naród stoczył zwycięsko o swe ojczyste miasta z najwyższym poświęceniem" (Bachruszin).

Historiografia radziecka odczuwa potrzebę pogłębionej, badawczej pracy, wzmożonego krytycyzmu w stosunku do źródeł, zerwania z uprawianym dawniej typem prac naukowo-popularnych i z niedostatecznie ugruntowanymi wywodami.

Historia narodów wschodniej Europy, środkowej Azji i Kaukazu prowadzi do starych państw i cywilizacji. Starożytne dzieje ojczyste Związku nie są przyczepką do europejskiego średniowiecza lecz ogromnym rozdziałem światowej historii oraz podstawą późniejszego rozwoju narodów, które wyrosły na obszarach Rusi i Czarnomorza, Kaukazu, Powołża, środkowej Azji i Syberii (Tołstow).

Nauka radziecka pragnie wyzyskać możliwości czerpania materiałów z archiwów brytyjskich, amerykańskich, francuskich i innych, zwłaszcza dla badań nad XVIII i XIX wiekiem i wciągnąć w krąg swych zainteresowań badawczych dzieje innych państw. Wysuwa się postulat stworzenia komisji historiograficznej, publikacji większych prac naukowych, rozległego wydawnictwa źródeł, zwłaszcza rosyjskich. Z problematyki historii nowożytnej uwaga zmierza w stronę antecedencji faszyzmu: próby przewrotu Boulangera, sprawy Dreyfusa, która była mobilizacją francuskiej reakcji, prądów rojalistycznych i monarchistycznych w czasach trzeciej republiki, wreszcie w stronę antydemokratycznych, jawnie faszystowskich dążeń w 30-tych latach XX wieku, które uczyniły Francję łupem Hitlera (Zwawicz).

Wielkie jest zrozumienie dla historii gospodarczej. Bardzo wielkie dla historii wojska, wojen i sztuki wojskowej. „Trzeba osiągnąć taki stan, aby historia wojen była dla historyków bliską dziedziną naukowego poznania" (Sidorow). W pierwszym rzędzie mają to być badania o Piotrze I, twórcy regularnej armii i floty rosyjskiej, prace o Rumiancewie, Suworowie, Kutuzowie, Dragomirowie i Brusiłowie. Osobno wchodzi w rachubę wojna z Niemcami, zebranie wszelkiego rodzaju dokumentów, dzienników, opowiadań bohaterów, partyzantów, uporządkowanie archiwów i publikacja materiałów archiwalnych.

W marcu bież. roku odbyły się w Moskwie wszechzwiązkowe obrady archeologów, w których brali udział przedstawiciele odpowiednich instytucji naukowych z Instytutem historii kultury materialnej im. N. Marra na czele. Wyniki radzieckiej archeologii zestawił na zjeździe akademik B. Grekow. Są one poważne w odniesieniu do wieku kamiennego, zwłaszcza neolitu, który dopiero nauka radziecka otwarła na obszarze Rosji, dochodząc do wyróżnienia kultur neolitowych i ich chronologizacji. Pięknie rozwinęły się badania epoki wczesnego metalu (kultura trypolska) i bronzu w północnym i południowym Kaukazie, na Kubaniu, nad Morzem Czarnym i na Ukrainie. Ostatnim etapem bronzu jest kultura Kimmerów, która utrzymuje się aż do czasu Scytów. Zbadanie pamiątek kultury scytyjsko-sarmackiej ma doniosłe znaczenie dla kwestii zaludnienia w epoce słowiańskiej i etnogenezy Słowian.

Zdaniem prof. Grekowa zdobycze archeologii potwierdziły schemat etnograficzny Marra, ujawniając głębokie rodzime korzenie wschodnich Słowian, z których wyszły plemiona kultury trypolskiej i stepowego bronzu, Scyci i na koniec epoka pól grzebalnych. Rolnicze plemiona scytyjskie środkowego Naddnieprza i górnodnieprskie ukazują się obecnie jako części składowe słowiańskiej etnogenezy.

Do ulubionych tematów radzieckiej archeologii należy również problem Antów, którzy osiągnęli wyższy stopień rozwoju. Ośrodek tej kultury leżał na Naddnieprzu i na obszarze przyszłych Polan (wschodnich) i można uważać za rzecz dowiedzioną, że kultura Rusi kijowskiej wzięła spadek po kulturze Antów. Również prof. W. Mawrodin na jubileuszowym zjeździe leningradzkim mówiąc o „Początkowym etapie historii narodu i państwa rosyjskiego" stanął na stanowisku autochtonizmu Słowian, którzy w rozwoju swym do V-go wieku naszej ery przeszli trzy etapy: formowania się z amorficznej masy paneuropejskich plemion (okres scytyjski), kultury „pól urn grzebalnych" (epoka rzymska) i rozsiedlenia Słowian. W tym czasie występują Antowie w dorzeczu średniego Dniepru, kolebce kultury rosyjskiej. Istnieją wystarczające podstawy naukowe, etniczne i kulturoznawcze dla stwierdzenia jednolitości wschodniej Słowiańszczyzny od Karpat do Oki, która skrzepła w okresie państwa kijowskiego. Rola autochtonicznego elementu ruskiego w jego organizacji obala dawną tezę o Waregach — Normanach, która i w naszej nauce została zupełnie przezwyciężona.

Dzięki badaniom archeologów rzucono snop światła na wczesną historię nadwołżańskich Bułgarów, Chazarów, greckich kolonij nad Morzem Czarnym, starożytnej Armenii i Gruzji. Nowy pięcioletni plan przewiduje wykopaliska i prace badawcze, odbudowę zniszczonych archiwów, ochronę zabytków, organizację wypraw, wychowanie kadr, zakładanie towarzystw, m. in. wznowienie działalności rosyjskiego instytutu archeologicznego w Stambule.

Dla charakterystyki zainteresowań radzieckiej nauki historycznej wypada wrócić jeszcze do grudniowej sesji leningradzkiej. Wśród referatów z zakresu historii starożytnej Grecji zwraca uwagę odczyt prof. S. Lurie o „Archimedesie i jego epoce", w którym dowodzono, że Archimedes wcale nie był oderwanym od życia gabinetowym uczonym, lecz politycznym bojownikiem, stosującym praktycznie swoją rozległą wiedzę teoretyczną w dziedzinie mechaniki. Akademik W. Struwe poddał przeglądowi zagadnienie wzajemnego wpływu kultur Egiptu i Babilonii, dochodząc do wniosku, że oddziaływanie materialnej i duchowej kultury dawnego Egiptu należy oceniać wyżej niż to dotąd czyniono. Wszystkie jej przejawy za czasów środkowych dynastii, a więc organizacja państwowa, armia, architektura, pismo, literatura, dziejopisarstwo, nauka, stanowiły wzory i wywierały wpływ na rozwój kultury babilońskiej w okresie Hammurabiego.

Bizantynistykę reprezentowała prof. N. Pigulewskaja, która obrała za przedmiot badań stosunki wzajemne Bizancjum i Wschodu. Zasadnicza jej teza opiewa, że Bizancjum winno zajmować centralne miejsce w historii wieków średnich, będąc wschodem dla łacińskiego zachodu i zachodem dla bliższego i dalszego wschodu.

Z tematów historii współczesnej zwraca uwagę odczyt prof. N. Korniatowskiego „O bitwie stalingradzkiej", którego autor próbował uogólnić doświadczenia wielkiej bitwy nad Wołgą.

Rozległość aspiracji naukowych zarówno w sensie tematów jak problematyki i chronologii ilustruje nieźle treść ostatnich dwu zeszytów czasopisma „Istoriczeskij Żurnał" (1945, 4, 5), wydawanego przez Instytut Historii Akademii Nauk ZSRR. Poza naukowymi przyczynkami do wiedzy o Leninie znajdujemy w nich artykuł prof. W. Awdijewa o „Walce społecznej i panowaniu Hyksosów w Egipcie", prof. A. Millera o epizodzie z historii Turcji w r. 1808 („Przyjaciele z Ruszczuka") i recenzję pracy J. Awierkijewoj o niewolnictwie Indian w Północnej Ameryce, praca oparta jest na materiale etnograficznym i folklorystycznym. Akademik W. Wołgin pisze o Wolterze — historyku, a K. Tatarinowa o Macaulayu.

Józef Sieradzki

Kalendarz kulturalny

Kongres Pracowników Sztuki odbędzie obrady w Krakowie w dniach 1—4 września br. Do udziału w Kongresie zostały powołane Związki: Literatów, Plastyków, Muzyków, Kompozytorów, Artystów Scen Polskich, Architektów, Historyków Sztuki, Muzeów, Realizatorów Filmowych i in. Prace organizacyjne i przygotowawcze związane z Kongresem prowadzi Główny Komitet pod przewodnictwem wiceministra kultury i sztuki, Leona Kruczkowskiego. W skład Komitetu wchodzą delegaci związków, powołanych na Kongres, oraz dyrektorzy departamentów Ministerstwa Kultury i Sztuki. Celem Kongresu będzie: wzmożenie udziału pracowników sztuki w dziele budowy Nowej Polski, skupienie sił i omówienie metod działalności, wytyczenie dróg twórczości artystycznej w sprawie upowszechnienie kultury i sztuki.

Stosunki kulturalno-artystyczne między Polską a Związkiem Radzieckim rozwijają się pomyślnie. Wydział Współpracy z Zagranicą w Ministerstwie Kultury i Sztuki przygotowuje okrężną wystawę grafiki polskiej w ZSRR i grafiki radzieckiej w Polsce. W najbliższym czasie udaje się do Moskwy grupa muzyków polskich celem nagrania na płytach polskich utworów muzycznych. W tych dniach wyjeżdżają również do Moskwy przedstawiciele „Filmu Polskiego", aby nawiązać bezpośredni kontakt z filmowcami radzieckimi, a w szczególności z moskiewskim Instytutem Filmowym.

W Warszawie wznowiło działalność naukową Polskie Towarzystwo Geograficzne. Prezes Towarzystwa, prof. Sujkowski, zmarł w czasie wojny. Funkcje przewodniczącego pełni obecnie wiceprezes prof. Srokowski. Zbiory biblioteczne ocalały i zostały zdeponowane w Bibliotece Uniwersyteckiej. Towarzystwo urządza miesięczne zebrania naukowe. Ostatnie było poświęcone odczytowi dr Różyckiego pt. „Rola geografii w odbudowie kraju".

Towarzystwo Naukowe Warszawskie, najpoważniejsza stołeczna placówka naukowa, nie przerwało swej działalności w czasie wojny, odbywając konspiracyjne zebrania naukowe. Pałac Staszica, siedziba Towarzystwa, spłonął doszczętnie, a wraz z nim biblioteka oraz majątek instytucji. Zniszczony również został drugi gmach Towarzystwa przy ul. Śniadeckich 8, gdzie mieściły się niektóre instytuty naukowe, jak: Instytut Biologii Doświadczalnej im. Nenckiego, pracownia minerologiczna i inne. Towarzystwo Naukowe Warszawskie liczy w chwili obecnej około 50 członków zwyczajnych i około 60 nadzwyczajnych, przy czym działalność naukowa odbywa się na razie tylko w pięciu wydziałach: historyczno-filozoficznym, językoznawczym, matematyczno-fizycznym, biologicznym i technicznym.

W krakowskim Domu Literatów odbyły się w dniach ubiegłych następujące imprezy artystyczne i dyskusyjne: w piątek dn. 20 lipca Artur Marya Swinarski odczytał swoją trzyaktową sztukę p. t. „Legenda o mądrym mężu". W poniedziałek dn. 23 lipca odbył się wieczór poezji Józefa Nachta (słowo wstępne A. M. Swinarskiego). We wtorek dn. 24 ub. m. Wojciech Natanson wygłosił odczyt p. t. „Sprawy sporne". W dyskusji wzięli udział: K. Brandys, Z. Leśnodorski, St. Otwinowski, A. Sandauer, K. Wyka i J. Zawieyski.

Krakowski Okręg Związku Zawodowego Muzyków odbył w dn. 23 lipca walne zgromadzenie celem dokonania wyborów do nowego Zarządu. Zarząd ten zgodnie ze statutem składa się z 7 członków, reprezentujących poszczególne sekcje: mgr A. Rygier prezes (sekcja pedagogów), T. Ochlewski wiceprezes (sekcja solistów), T. Skołyszewski sekretarz (sekcja teorii i krytyki muzycznej), Zb. Soja (sekcja muzyki symfonicznej), Cz. Rozak (sekcja śpiewaków), A. Przystał (sekcja muzyki kościelnej), E. Preussner (sekcja muzyki rozrywkowej). — W ubiegłym tygodniu odbyły się pierwsze posiedzenia Komisji Programowej, której poruczono reorganizację szkolnictwa muzycznego. Na razie uruchomiono 3 komisje: fortepianu (Drzewiecki, Hoffman, Jacynowa, Sztompka), śpiewu (Romaniszyn, Belina-Skupniewski, Dresler-Pasławska, Zawadzka) i przedmiotów teoretycznych (Chybiński, Chomiński, Łobaczewska, Palester, Sikorski). Równocześnie obradowała też komisja choreografii pod przewodnictwem St. Głowackiego.

W lokalu krakowskiego Związku Artystów Plastyków urządzono wystawę prac konkursowych na afisz wystawy „Polonia". Autorami pierwszej nagrody (pomysłowe zużytkowanie motywu „Piety" do tematu „Polonia") są dwaj graficy Karolak i Gałkowski; drugą otrzymał Tejwan („Łapanka"), — ponadto wyróżniono trzy projekty: Małkowskiej, Wojtanowicza i Karolaka. Na wyróżnienie zasługiwała jeszcze praca Jerzego Bandury (godło 666), jakkolwiek tematycznie niezupełnie odpowiadająca warunkom konkursu, to jednak w graficznym wykonaniu — tak w kompozycji figuralnej jak i w układzie pisma — wykazująca należyty poziom. Otwarcie wystawy „Polonia" nastąpi we wrześniu; tematem jej będą przeżycia plastyków w czasie okupacji niemieckiej.

Chłop w dziejach i literaturze

Chłop polski w dziejach i literaturze. Teksty i dokumenty. Łódź, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1945.

Jako jedna z pierwszych publikacji przeznaczonych na użytek szkolny w wolnej Polsce, wyszła staraniem Ministerstwa Oświaty broszura, której zadaniem jest wszechstronne oświetlenie zagadnienia chłopskiego. Zagadnienie to ukazywane dotąd wychowankowi szkoły polskiej jedynie ułamkowo, marginesowo, przelotnie od strony literackiej, historycznej lub gospodarczej, bez nacisku na jego wagę społeczną — zyskuje przez rekapitulację w tej pożytecznej książeczce nowy, rzeczowy wygląd, staje się całością jasną, zrozumiałą i przemawiającą do czytającego nie słowami krzykliwej propagandy, lecz wymową cyfr, faktów historycznych i kulturalnych.

Książeczka podzielona jest na trzy części. Pierwsza: „Z niedoli chłopskiej" daje historyczne i literackie świadectwo położeniu chłopa w Polsce, począwszy od czasów Szymonowicza a kończąc na Polsce międzywojennego dwudziestolecia. Druga: „W walce o chleb i o ziemię" rysuje obraz zmagań samych chłopów o poprawę swego bytu przez koncepcje reform ustrojowych i emigrację, przez zabiegi jakie, potykając się z losem przedsiębrał chłop na przestrzeni dziejów. Trzecia: „O pełnię praw obywatelskich dla wsi" — to skrócona, na źródłach oparta, historia narastania zagadnienia chłopskiego, historia reform i walk o nie, toczonych przez światłe, postępowe czynniki społeczne, walk „zakończonych dekretem PKWN o przeprowadzeniu reformy rolnej".

Książka jest wyborem urywków z dzieł naukowych, publikacyj i utworów lub fragmentów utworów literackich: Frycz-Modrzewski, Staszic, Świętochowski, Grabski, a obok nich Szymonowicz, Lenartowicz, Konopnicka, Orkan, Żeromski, Kasprowicz, Kruczkowski, Wasilewska, Magryś, Burek, oraz anonimowi autorzy pamiętników chłopskich, manifestów Towarzystwa Demokratycznego z r. 1836, Rzadu Narodowego z r. 1846, Ludowego z r. 1918 i PKWN z 1944 — zabierają kolejno głos, w liczbie dalekiej od tej, która stanowić mogłaby o pełni czy też wyczerpaniu przedstawionego zagadnienia. Reprezentują oni jedynie sprawę, o której wychowanek przyszłej szkoły polskiej mówić będzie zapewne już inaczej niż wychowanek dotychczasowej. Trudno powiedzieć, że zebrany materiał jest dostateczny. Brak jest fragmentów z tak cennych dzieł jak „Rozdroże" M. Dąbrowskiej, „Młode pokolenie chłopów" Chałasińskiego itp., lecz możliwe, że zamieszczanie ich nie leżało na linii zamierzeń autorów najbardziej skrótowego, pedagogicznego wydawnictwa. Jedno jest pewne: wydawnictwo w chwili obecnej odegrać może nie tylko dla bezpośrednio nim zainteresowanych: młodzieży i wychowawców, ale i dla całego, słabo zorientowanego w zagadnieniu społeczeństwa poważną rolę wychowawczą.

Ryszard Matuszewski

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 10 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62. — Prenumerata miesięczna 21 zł., kwartalna 63 zł. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik". M—02958